Nr. 3 (1099). Warszawa, dnia 5 (18) Stycznia 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:

POLITYKA.

RZECZPOSPOLITA WE FRANCYI.

Prezes ministrów francuskich, Waldeck-Rousseau, zjechał w towarzystwie p. Milleranda, ministra handlu, d. 11 b.m. do St. Etienne. Jest to wielkie ognisko przemysłowe; przeważają w niem żywioły socyalistyczne, a cały departament Loary odznacza się i radykalizmem swoim i burzliwością. Dotychczas ministrowie noszący płaszcz na dwu ramionach omijali go zawsze podczas krasomówczych swoich wycieczek; dzisiejszy prezes ministrów umyślnie do stolicy jego pojechał, aby z niej rzucić pierwsze od czasów Gambetty i Ferry'ego hasło szczerze republikańskie jako wyznanie wiary republikańskiego rządu. Odwaga jego była przytem tylko siłą przekonania, które zarówno z teoretycznych, jak i z praktycznych pobudek szuka dla siebie głosu. Odwaga jego towarzysza, p. Milleranda, była już zajrzeniem w oczy — niebezpieczeństwu. Tak przecież niedawno radzono nad tem w stronnictwie, z którego wyszedł i z którego formalnie jeszcze nie wystąpił: czyby mu nie dać pasportu na swobodny wojaż między stronnictwami, i niewiele już brakło do tego, aby go otrzymał. Ludność, która wobec Waldecka zachowywała się chłodno, mogła łatwo wobec Milleranda nabrać temperatury potrzebnej do manifestacyi, i jeżeli Waldeckowi na powitanie dawano tylko lękliwe a rzadkie okrzyki: „Niech żyje rzeczpospolita,“ towarzysza jego mogło powitać jakieś *„à bas,“* choćby tylko z grup pojedynczych, a nie z jednolitego, jedną piersią krzyczącego, tłumu wyrzucone. Ludność wszakże zachowała się spokojnie, a mer w mowie powitalnej wytłomaczył tę jej postawę uszanowaniem dla rzeczypospolitej, jakkolwiek ta rzeczpospolita nie zaspakaja jej ideałów. Była to karność siły w dobrze zrozumianym interesie. Roztropniej jest trzymać z rzecząpospolitą, niż z jej wewnętrznymi wrogami: od istniejącej już formy rządu zawsze bliżej do upragnionej, niż od cezaryzmu lub royalizmu, nacyonalistów czy orleańczyków.

Dnia 11 b. m. odbył się bankiet ze swego charakteru miejscowy: mówiono na nim o przemyśle i jego warunkach prawodawczych i ekonomicznych. D. 12 b. m. dopiero urządzono bankiet polityczny, z charakteru swego ogólnie francuski, z mowami dla całej Francyi. Waldeck-Rousseau sławił jej świetność, jej wielki, od r. 1871-go, rozwój. Ekonomicznie jest ona do siebie niepodobną: handel jej wzmógł się półczwarta raza; kolonie, których bez Algeryi i Tunetanii było tylko 800,000 kil., teraz obejmują obszar 10 mil. kil. Rzeczpospolita postawiła potężną armię, dba o nią i troszczy się ciągle o jej doskonalenie. Dzisiejszy rząd rzeczypospolitej pojął swe powołanie w wewnętrznem życiu narodu republikańskiego: szerzy w nim idee republikańskie i z tą samą dążnością do zapewnienia im tryumfu ostatecznego, któregoby nic już wydrzeć nie mogło, staje teraz wobec zbliżających się wyborów. Na tak bliską już kampanię wyborczą jedno jest tylko hasło: uważać każdego za nieprzyjaciela, kto nie odtrąci od siebie pomocy stronnictw wstecznych, pragnących Francyę wyprzeć wstecz po za stanowisko, jakie jej dało już dotychczasowe jej zrepublikanizowanie się. Od dawnego czasu już nie sformułowano tak jasno, zwięźle a praktycznie programu szczerze republikańskiego na czas wyborów. Przymierze tylko z tymi, którzy idą do tego samego celu, choćby nie tą samą drogą, i rzetelnie chcą widzieć Francyę rzecząpospolitą. Wszystkie nacyonalizmy, cała meliniada, wszelkie półśrodkowości, będące tylko zasadzkami na republikańską formę rządu, otrzymują tu zasłużone piętno, a najprostszy nawet, najmniej rozumujący, z mechanizmem rozumowania nieobeznany obywatel znajduje wskazówkę, jak się ma zachować, jeśli go kierunki rzeczypospolitej nieprzyjazne z góry już dla siebie nie zaskoczyły, nie obałamuciły, nie zagarnęły.

To hasło, a więcej jeszcze ten rząd sprawia wrażenie utrwalonego już we Francyi republikanizmu. Pragnienie Gambetty, aby raz nareszcie wydobyć się z wojny domowej, opędzić nieprzyjaciołom i zacząć organicznie już republikański żywot, staje się rzeczywistością. Po ciężkich przeprawach przez bulanżyzm, nacyonalizm i militaryzm, kokietowany przez monarchię — ta dziś już występująca czerstwość, jędrność i siła, dają zapowiedź trwalszej przyszłości dla tej formy upaństwowienia społeczeństwa, którą dzień 4 września 1870 r. dla niego zaimprowizował. Miasta są już prawie nawskroś republikańskie, na wsiach zmniejsza się coraz bardziej obszar połowów klerykalnych, monarchicznych i podstępnie połowicznych. Marzenie Ferrego

o kmieciu francuskim republikaninie, o rzeczypospolitej chłopskiej, w chłopa wszczepionej, jeszcze na urzeczywistnienie się swoje poczeka; ale już dzisiaj nie wolno, jak o r. 1792—4, mówić, że republikanizm opiera się prawie wyłącznie na miastach. Wyzwolenie umysłów, dobra szkoła — ułatwi proces, jakby naturalną siłą spełniający się w narodzie, przez samo istnienie w nim rzeczypospolitej. Jej rzetelność może tylko ten proces przyspieszyć.

Granica r. 1871 jest dla wywodu wielkości Francyi charakterystyczną. Epoka republikanizmu zbiega się w niej z epoką — klęski narodowej, jaką była nieszczęśliwa wojna i nieszczęśliwsza utrata Alzacyi i Lotaryngii. Ani jednem, najlotniejszem nawet, słowem nie dotknął minister tego narodowego nieszczęścia, choć rozszerzony obszar kolonij sam przez się nasuwał uszczuplony obszar ojczyzny. Ale tu minister, gdyby nawet był tylko pospolitym Francuzem, nie mógłby lepiej zaznaczyć ogólnie-francuskiego stanowiska, niż je uwydatnił milczeniem. Dla dzisiejszego Francuza i Rok Straszny i Alzacya niemiecka przestały być już narodowem nieszczęściem. Stratę przebolał — i pogodził się z losem. O odzyskaniu Alzacyi nie myśli, jeszcze tylko czasem Niemca nią straszy. Została mu jeszcze niechęć do Niemców, wzbijająca się nawet do nienawiści, ale żądza odzyskania Alzacyi już duszę jego opuściła. Zostaje jeszcze wprawdzie granica naturalna Renu, zostaje rola w wielkiej dynamice potęg państwowych Europy, zostaje wreszcie możliwość wielkiego wewnętrznego przewrotu i wielkiego zewnętrznego odruchu, jak za Bonapartego; ale wszystkie te pobudki, pojęcia czy idee nie zastąpią w polityce międzynarodowej i w samem życiu narodowem tamtej żądzy, która już wypala się i dogasa. Bismarck wiedział, co czyni, gdy się cieszył widokiem Francuzów w Tonkinie. Z Alzacyi myśl francuska wybiegła w świat i szybuje po nim: do Alzacyi już nie wróci. Stało się, jak chciał Bismarck. Francya ma 10 milionów kilom. kolonii, ale nie ma i mieć nie chce 15 tysięcy kilom. Alzacyi.

Walka parlamentarna o traktaty handlowe.

III.

Gdyby w walce parlamentarnej decydowały potęga słowa, logika przytaczanych wywodów, wymowność faktów, przekonywająca pewność, wyrazistość i zrozumiałość argumentów, to obóz celny tym razem, bez wszelkich korowodów, bez długich rokowań byłby zmuszony złożyć oręż i oddać się na łaskę i niełaskę przeciwnika. Ale w parlamencie podobnie jak w życiu, nie zawsze zwyciężają prawda i dobro; górę bierze nie koniecznie mężniejszy i waleczniejszy. Często rozstrzygają dyplomacya i polityka, której nie snuje się za kulisami pokryjomu. Skoro zawarto trójprzymierze o podziale łupu pomiędzy junkrami, jezuitami i narodowo-liberalnymi mięczakami, skoro na szalę parlamentarną w chwili ostatecznej może spaść przeszło 300 głosów celnych, to najbardziej miodopłynna retoryka lub miażdżąca logika będą rzucaniem grochu o niewzruszoną ścianę egoizmu i obojętności. Z punktu widzenia polemicznego i fechtunku parlamentarnego, zadanie lewicy było, co prawda, nadzwyczaj wdzięczne. Obóz celny bowiem, tymczasowo i naprędce spojony kitem jedności i widoków zaborczych, nie mógł występować tak, jak przystało na ludzi, mających sumienie czyste. Ministrowie, jakeśmy widzieli zajęli pozycyę wahadłową, aby w każdej chwili módz zwrócić się ku lewicy ze słowami: „Ależ między nami nic nie było.“ Centrum wystąpiło, jako prawdziwy wielki kupiec, który nie lubi tracić niepotrzebnie słów i w każdej chwili gotów wycofać się z tranzakcyi. Narodowi liberałowie kręcili tylko głową. Junkrzy zaś przysięgali tylko na swe sumienie i brodę proroka Kanitza, teoretyka rolnego, iż „nie mogą.“ Ofiarowane im 6-o i $6\frac{1}{2}$-markowe cło, zrajnuje ich. Tylko dla miłego spokoju gotowi przystać na $7\frac{1}{2}$ markowe. Występ cnotliwej prawicy i jej „przyjaciół domu“ przypominał zatem poniekąd pantominę po części przedstawienie linoskoków i błaznów cyrkowych. Lewica zatem, jakeśmy rzekli miała zadanie bardzo łatwe.

Liberałowie wystawili na pierwszy ogień, jak zwykle, Eugeniusza Richtera. Jest to bezwarunkowo jeden z najlepszych mówców Sejmu Rzeszy, jakkolwiek blask jego gwiazdy od lat kilkunastu stopniowo przygasa. Za czasów Bismarcka, gdy Richter tylko oponował, stał on na wysokości niedościgłej. Jego utarczki z Bismarckiem sprawiały wrażenie dwu brytanów, które wpijają się w siebie wzajemnie zębami. Od czasów Capriviego, męża łagodnego, Hohenlohego kanclerza słomianego i Bülowa, słodkiego elegancika, w Richterze pękła jakaś struna. Zwłaszcza odkiedy tuż za jego plecami wyrosła nowa opozycya, Richter złagodniał i oszlifował oraz opiłował swoje pazury. Podczas ostatnich rozpraw anticelnych był on jednak znowu w swoim żywiole—jak twierdzą złośliwi, pod wpływem przeżywanych obecnie miodowych miesięcy. Jego mowa przeciwko daninie agrarnej była prawdziwym *dies irae* dla rządu.

Hr. Bülow—wywodził Richter — nazwał system handlowy swych poprzedników fałszywym, a jednak bardzo a bardzo dostojna osoba nadała zasługom Capriviego na polu traktatów handlowych tytuł „czynu ratunkowego,“ a nawet orzeczono wówczas, iż Caprivi pod tym względem stworzył epokę w historyi narodu niemieckiego, wskutek czego zasłużył sobie na błogosławieństwo milionów. Ponieważ lewica nie kieruje się tem, w jaką stronę wiatr u góry wieje (hałas na prawicy), więc nie chce podminować pomnika, który wzniósł sobie Caprivi. System nowy, obecnie projektowany, jest nawet w porównaniu z protekcyonizmem Bismarcka czemś niesłychanem; jest to system opieki wszechstronnej, oparty na poglądzie, jakoby każdy towar przybywający z zagranicy czynił uszczerbek dobrobytowi Niemiec. Konserwatyści wyrazili wprost żądanie, aby wszystkie artykuły spożywcze kupowano w Niemczech. Zasada bardzo piękna, jeżeli naród ma z głodu umierać. Gdy rząd domagał się zwiększenia flotyli, ogłosił ją za pierwszy warunek wolnego handlu, mogącego wybawić robotnika z nędzy, obecnie zaś, ten sam, wolny handel okazuje się najgorszym na świecie psotnikiem. Dziś nawet radzą robotnikom, aby dla dobra ojczyzny spożywali droższy chleb. W takim razie nie zaszko-

---

3)

M. Grossek.

SERCE.

Zamiast Serafiny wpadła do pokoju z brzękiem, szelestem i śmiechem panna Marya i, stanąwszy na środku, załamała ręce „nad tym nieszczęśliwym panem Stanisławem.“

— Wyobraźcie sobie państwo... ma żonę, która nie lubi i nie umie całować!

Źrenice mężczyzn skrzesały ognia, jak na komendę. Każdy czuł się w osobie pana Stanisława wyzwanym i powołanym: zasypano pannę gradem śmiałych konceptów, obstąpiono dokoła. Plecami oparta o ścianę, z zaczepnego przechodząc na stanowisko obronne, odpierała napad.

W owej chwili niepewnym, drobnym kroczkiem wtoczyła się do pokoju Serafina.

Spostrzegła ją tylko jedna pani Pokrzywnicka z Pokrzywnej i zaczęła kiwać na nią. Matrona ta zajęła honorowe miejsce na sofie, pod dywanem koloru perłowego, na którym Turcy, krzyżykami wyszywani, palili długie fajki i wdzięczyła się zezowata hurysa z krzywą twarzą.

Pani ta niska i krępa, miała włosy gładko uczesane i poniżej ucha obcięte w „czuprynkę,“ co nadawało jej śmieszny wygląd baby-podlotka, z twarzą rozlaną i wielką, z oczami sprytnie patrzącemi. Nie mogąc doczekać się Serafiny, zaczęła ją przywoływać niecierpliwie.

— O la Boga, a chodź-że też do mnie, moja pani „Kuciowa“! — wołała rubasznie, podkreślając mocno swoją w tem towarzystwie odrębność. — Nawarzyliście też, jak dla karmników. Ja tam, serce, lubciu, takich marcepanów nie jadam. A dajże mi też, jeśli w Boga wierzysz, barszczu z kaszą, klusków z serem, rosołu z kury, bo umrę, jak cię kocham, umrę!

I krzywiła się, przybierając dygi i grymasy swej klucznicy, ona, która w towarzystwie „równych“ umiała być tak poprawną, a nawet szlachetną. „Widzicie — mówiły bystre, szare oczki, bez brwi i rzęs— i taką być potrafię. Kiedy wleziesz między wrony...“

Pani Pokrzywny, dla ociężałości swej nieopuszczająca nigdy rozłożystych, sprężynowych kanap, miała talent puszczania w ruch wszystkiego dokoła siebie; umiałaby, zdaje się, kręcić całą machiną niebieską, więc drobna Serafina biegała w jej rękach, jak fryga. Naprzód pod pozorem „cugów“ wydelegowano ją do pozamykania drzwi i okien we wszystkich pokojach; potem własnoręcznie musiała nalać jedna po drugiej trzy szklanki herbaty, z których żadna nie okazała się dobra. Westchnąwszy z rezygnacyą nad ostatnią, pani Pokrzywnicka osłodziła ją własnym cukrem, który, zawinięty w kawałek szarej bibuły, wyjęła z kieszeni, odsunąwszy cukiernicę, trzymaną przez Serafinę; następnie kazała dowiedzieć się, czy furman nie upija się w kuchni, czy nie naruszył kupionego cukru, a zarazem poszukać w powozie rękawiczki, z powodu której już poprzednio dom cały przewrócono do góry nogami. Do powracającej z tej wyprawy Serafiny pani z Pokrzywny zawołała, rozkładając ręce:

— A zlitujże się, moja najdroższa pani „Kuciowo,“ bójże się Boga, kobieto, rosołu z kury nie umiecie zgotować! Chyba już ja, stara baba, przyjadę sama was nauczyć, dalibóg! — umyślnie po to przyjadę!

Na drugiem honorowem miejscu obok niej siedział proboszcz zwoleniecki, starzec atletyczny, zgarbiony, z długim, białym włosem na ogromnej, guzowatej czaszce, pod którą jarzyły się oczy czarne, gorące, trochę dziwne u starca. Zajęty spożywaniem swoich dwu ulubionych potraw: szczupaka po żydowsku i grzybów duszonych, zdawał się nic i nikogo nie widzieć; lecz gdy pani z Pokrzywny swój przyjazd „prędki“ i „umyślny“ tak solennie zapowie-

działoby okręty sprzedać z licytacyi, jako stare żelazo. Absurdem jest podejrzewać w obrońcach wolnego handlu agentów zagranicy; są oni zupełnie nieposzlakowanymi patryotami, albowiem bronią interesów wielkiego ogółu spożywców. Rozkwit przemysłowy, datujący się od czasu zawarcia traktatów, był dla narodu niemieckiego niespodzianką. Występując w sposób wyzywający wobec innych państw, zniewala się je do odwzajemnienia pięknem za nadobne, co też uczyniły już Rosya i Austro-Węgry. Potulność hr. Bülowa w stosunku do agraryuszów nie powinna dziwić nikogo, od kiedy ci zmusili kanclerza do zrobienia przed nimi „Kotan" w kwestyi kanału, (Krzyki na prawicy).

Ponieważ minister handlu, Möller, agituje sam za cłami rolnemi, to radziłbym zamknąć budę w ministeryum handlu a pana Möllera zamianować subalternem ministeryum rolnictwa (Wielki śmiech). Układając taryfę obecną, zamianowano komitet specyalny, który przeważnie składał się z junkrów (Wielki hałas na prawicy). Gdy hr. Bülow objął rządy, zapewniał wszystkich, iż nie „znają jeszcze jego serca." Dopiero gdy nastąpiły uczty agrarne, wtedy zrobił odkrycie, iż posiada serce bijące współczuciem dla znękanego niedolą rolnictwa. (Wielki śmiech). Potem nastąpiły owe szumne fajerwerki retoryczne, w których kanclerz wszystkim dawał nadzieje i wszystkich ośmielał do marzeń. Tu też niecierpliwie oczekiwano wielkiej mowy z powodu traktatów handlowych. Ale, niestety, co za rozczarowanie! Otrzymano garstkę niewyraźnych słów, które wprawiły w niemiłe zdumienie zarówno dwór jak parlament. (Huczne oklaski). Każde zdanie, o ile nie było wyjętem z jakiejś „Księgi złotych myśli, przysłów i aforyzmów," jest cytatą, pochodzącą z jednego z wielu wygłoszonych toastów (Wielki śmiech). Co za kontrast z mową Bismarcka, wypowiedzianą w przeddzień odrodzenia protekcyonizmu w r. 1879, co za porównanie z mową hr. Capriviego, owego skromnego prostego generała, podczas inauguracyi traktatu handlowego z Rosyą. (Huczne oklaski na lewicy. Wrzask na prawicy). Widocznie hr. Bülow za przykładem słynnego dyplomaty utrzymuje, iż język ludzki istnieje tylko po to, aby nie wypowiadał myśli ludzkich. (Krzyki na prawicy). Po Bülowie przyszedł sekretarz stanu, który wciąż powoływał się na „czcigodnego poprzedniego mówcę." (Wielki śmiech). Wtedy pomyślał sobie minister hr. Posadowsky: „Tak nie może dalej trwać." (Wielki śmiech) i wnet palnął tę samą walną mowę, której nie wygłosił kanclerz.

I znowu popłynęły w Sejmie Rzeszy ubolewania nad upadkiem rolnictwa. A jednak ileż to razy słyszało się o technicznym postępie w rolnictwie, o rozwoju maszyn rolnych, o rozszerzeniu uprawy kartofli, buraków itd. Sam Kanitz, dowódca agraryuszów, wyraził w swoim czasie, iż „wysokie cła są rzeczą połowiczną." Ks. Hohenlohe dowiódł, iż $^5/_6$ rolników zupełnie nie jest zainteresowaną w wysokich cłach. A tymczasem opłata od zboża i mięsa spada przygniatającym ciężarem na całą ludność niemiecką. Zniżając zaś stopę życiową, wycieńcza się organizm ludu i wskutek tego zwyradnia siłę wojenną Niemiec. Junkrzy jednak mają odwagę twierdzić, iż cena zboża nie wpływa na koszty produkcyi chleba, a wskutek tego można podnosić cło zbożowe jak się tylko agraryuszom podoba, a lud pomimo to będzie zawsze syty i nie poniesie większych wydatków. Statystyka wszakże stanowczo temu zaprzecza. Przeciwnie, dowodzi ona, iż podnosząc cło obecne o 2 marki, powiększamy płynące z ceł zbożowych obciążenie rodziny 31-markowym wydatkiem o nowe 18 marek rocznie. Św. Kryspin oddawał ubogim przynajmniej wszystko, co kradł. Agraryusze zaś zaledwie dziesiątą część dochodów z ceł darują skarbowi podczas gdy $^9/_{10}$ chowają do własnej kieszeni. Nie idzie w danym razie o obronę „pracy narodowej," jak zapewniają agraryusze, lecz o opiekę nad rentą ziemską. Cóż dziwnego, że opozycya w kraju rośnie z roku na rok i staje się coraz groźniejszą. (Krzyki na prawicy). Palma pierwszeństwa należy się bezsprzecznie hr. Bülowowi, iż sprzyja wzmaganiu się zaściankowości ekonomicznej. Rząd, który miał podług wszelkich marzycieli stać po nad klasami, traci ustawicznie na swej popularności i powadze. (Powszechna sensacya). Przyłącza się jeszcze w dodatku przesilnie, które obecnie przechodzą Niemcy. Wprawdzie minister handlu, Möller, gdy się mówi o tej katastrofie, wykręca się i pociesza innych opowieścią biblijną o siedmiu obfitych latach, poprzedzających siedem lat głodu; ale przedewszystkiem minęły te czasy, kiedy Jehowa ukazywał się we śnie ministrom, pomimo iż byłoby to na rękę nie jednemu z nich. (Wielki śmiech). Stary Józef skorzystał następnie ze swego objawienia i podczas okresu obfitości gromadził zapasy na przyszłość.

Minister Möller przytem wyraził otuchę, iż przesilenie oddziała wychowawczo na lud pracujący. Lewica natomiast ma nadzieję, iż nadewszystko rząd niemiecki wysnuje odpowiednie wnioski z obecnego przesilenia i zrzeknie się ustawy taryfowej. Gdyby to jednak nie nastąpiło, lewica wytęży wszystkie swe siły, aby zgotować zgubę ustawie, albowiem zmierza ona do podkopania dobrobytu Niemiec. (Huczne oklaski na lewicy).

Eugeniusz Richter podkreślił chwiejność rządu niemieckiego, pozbawionego wszelkiego programu i ideałów społecznych. Wskutek tego mowa znanego parlamentaryusza sprawiła silne wrażenie, wystawiając śmiesznym w swej nicości ministrom wymowne świadectwo ubóstwa. Ale w filipice tej drgała za słabo nuta donioślejsza—społeczna. Że ministrowie niemieccy nie potrafią oryentować się w labiryncie czynników politycznych i wskutek tego kroczą omackiem na chybił trafił, bez wyraźnego kierunku, narażając na szwank i niebezpieczeństwo stanowisko i opinię rządu niemieckiego — jest to ich rzeczą. Ale że w swej bezradności i krótkowidztwie dali się namówić do wysadzenia w powietrze całej budowy gospodarstwa społecznego oraz pokusili się o poddanie próbom głodowym żołądka ludu — to już jest nie śmiesznością i niedołęstwem, lecz przestępstwem. Ten oto antyhumanitarny i antyspołeczny charakter został dopiero jaskrawo oświetlony w mowach posłów lewicy krańcowej.

H

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 8 b. m. zagajono Izby pruskie. Mowa p. Bülowa, wśród innych stosunków polityki wewnętrznej dotyka i „prowincyj dwujęzykowych." To, co się tam stało, zachęcić tylko może rząd do wytrwania na obranej drodze. Naród niemiecki odczuwa wypieranie języka i obyczaju niemieckiego jako ujmę swej godności i nie zaniedba też stanąć w obronie tyloletniej kultury i jej zdobyczy. „Dla państwa pruskiego jest to kwestya bytu." — Rząd spełni swe zadanie, spodziewając się w tej

---

działa, ksiądz, który właśnie jeść skończył, obtarł usta, roześmiał się zjadliwie i rzekł:

— Nie wątpię o tem, że panią Serafinę honor ten spotkałby wkrótce i bez kulinarnych prelekcyj, lecz w głowie mi się pomieścić nie może, jakim cudem trafiasz pani do tych naszych, zacnych i kochanych Kuczów, których nazwisko tak ci trudno spamiętać.

Pani z Pokrzywny niechętnie rozwiązywała sznurki swego worka, a mnogimi interesami z odległych dóbr przywoływana do miasteczka, aż nazbyt często „trafiała" do Kuczów i po trzy dni wysiadywała u nich z końmi i ludźmi.

Zajście więc zapowiadało się groźnie: obie strony mocno się zaperzyły, lecz Serafina stłumiła pożar, żałosnemi oczami wybłagawszy sobie u księdza milczenie; a do pani z Pokrzywny przybiegła z uściskami, gorąco i szczerze zapewniając, że nie czuje się obrażoną i całą sprawę uważa za drobiazg. Ksiądz, machnąwszy ręką, zniechęcony wstał od stołu, a pani z Pokrzywny jęła podnosić wysoko „rozum" pani Serafiny, oświetlając go tak, aby cień padł na wojowniczego proboszcza.

Kwas tego zajścia rozlał się już jednak i zwarzył humory.

Jakiś niegrzeczny malec, na którego śród ogólnego rozbawienia nikt dotąd nie zwracał uwagi, wywołał powszechne niezadowolenie niezwykłymi wybrykami swego zachowania, z których najniewinniejszem było jeszcze sondowanie głębokości ust i nosa palcami i bezpośrednie zatapianie ich potem w półmisku. Siedząca obok niego matka, prawie omdlewając ze wstydu i złości, siliła się jednak na słodycz:

— Dziusiu, dziusiu! — powtarzała pisklim głosem. — Co ci się dzisiaj stało?.. Czemuś ty dziś taki niegrzeczny?..

Serafina ugłaskała i dzieciaka, poważnie zdziwionego pretensyami matki.

— Bierz, jedz, kochanku, co ci się podoba! — rzekła. I oboje z panem Stanisławem zaczęli się prześcigać w sławieniu swobodnego prowadzenia dzieci.

— Bardzo dobrze — mówili— jeśli dziecko nie zna etykiety; powinno być naturalne; przymus źle wpływa na charakter; swoboda kształci wolę.

A trzy córeczki Serafiny uśmiechały się do małego nieokrzesańca z cudnym wdziękiem, usługując mu i obcierając jego palce.

Ale byli tam jeszcze inni goście, o których Serafina czuła konieczność pamiętać: na końcu stołu siedział młody żydek, który w aptece wyrabiał wody gazowe, a w tem obcem dla siebie towarzystwie nie śmiał dotknąć się podbródkiem własnego kołnierzyka; była panna Apolonia, słynna plotkarka, zwana „czarną" od sukni czarnej, tercyarskiej, włosów i oczu jak atrament, oraz twarzy ciemnej, oliwkowej, malutkiej a pomarszczonej jak reneta.

Apolonia była bardzo pokorną i nie śmiała usiąść wobec pań, które dawały jej szycie, więc nakryła sobie na komódce, w drugim pokoju i tam siedziała sama, starając się nie szczękać nożem i widelcem, a z po za fikusów i klonów przyglądając się bacznie wszystkiemu. Uśmiech słodko-kwaskowaty nie schodził z jej twarzy: zdawała się wesoło natrząsać z bawiącego się grona. Lecz gdy wzrok jej padał na Serafinę, karykaturalnie śmiesznie wyglądającą w zepsutej sukni, stara panna niespokojnie poprawiała się na siedzeniu: ta suknia była jej dziełem. „Trzeba być skończoną waryatką—myślała sobie —aby taką rzecz włożyć przy tylu ludziach. Sama zresztą winna, bo jeśli nie dba o własne dobro, to któż o to dbać będzie? Swojem niedbalstwem i ja do niedbalstwa przywiodła. Kto będzie myślał o tem, by pani nogi nie przetrącić? Pewnie nie dziad, którego te psy szarpią! Wszystkie klientki są takie wymagające, kapryśne, twarde, skąpe, niewyrozumiałe, drobnostkowe i niecierpliwe, że... gdy zjawi się taka oto wyjątkowa Serafina... jej jednej dostaje się za wszystkie.

. . . .

Dobroć Serafiny irytuje i niepokoi Apolonię! Ta dobroć wprowadza zamęt w jej pojęcia, bo Apolonia nie umie jej sobie wy-

pracy poparcia od ludności niemieckiej tamtych prowincyj, oraz rozumnej a patryotycznej pomocy samego sejmu. Zatem walka z polskością, z językiem i obyczajem polskim — wypisana na sztandarze jako kwestya bytu. Nieprzyjmowanie niemczyzny jest jej wypieraniem. Niepodobna wyraźniej a uroczyściej zapowiedzieć dążenia do zagłady. Mowa toruńska z 22 września 1901 roku w dniu 8 stycznia 1902 r. doczekała się wykończenia, nadającego jej znaczenie manifestu walki na śmierć. Hakatyzm z przedsiebiorstwa prywatnego, jakiem było stowarzyszenie „Zum Schutz des Deutschthums,“ staje się funkcyą państwową prześladowanie będzie teraz miało organ czynny w armii urzędników, stosach praw — i stojących za nimi więzieniach.

Dnia 13 b. m. narodowo-liberalny Hobrecht, a ze strony posłów poznańskich ksiądz Jażdżewski, tamten dla pognębienia, ten dla naturalnej obrony, wnieśli interpelacye. Hobrecht przeczył jakoby się niemczyzna cofała, wszakże energię rządu za niezbędną uważa. Ks. Jażdżewski przypomniał cywilizacyjne oburzenie, napiętnował sprawiedliwość we Wrześni wyrazem, za który go przewodniczący przywołał do porządku; wytknął dzikość wykładania religii po niemiecku, powołał się na uroczyste przyrzeczenia królów pruskich, na ów słynny manifest z dnia 15 maja 1815 roku; mówił wogóle nieosobliwie, a najniefortunniej zaczął, „że nic powie nic nowego“ — czem wywołał w ulu niemieckim wesołość. Bülow po nich obu wygłosił mowę sofizmatów i fałszów. Chłostanie dzieci za naukę religii cofnięto. Rząd nie wydziera Polakom ich języka (użył tu wyrazu wzgardliwego „Schnabel“), nie chce tylko pozwalać na polszczenie dzieci niemieckich. Niemczyzna musi być i będzie wzmocniona: w tym celu właśnie przysłano żołnierzy do Wrześni i Środy(!). Jeżeli użyto rózgi, to nie w sprawie religii albo przeciwko Polakom, ale w interesie powagi nauczycielskiej. Jedność narodowa—jest celem, do którego dążyć potrzeba. Rząd nie wydziera Polakom konstytucyi, jak nie wydziera języka: owszem, szanuje ich prawa konstytucyjne, ale chce wielkopolską (*gross-polnisch*) agitacyą powściągnąć. Państwo musi mieć to, czego do spełnienia posłannictwa swego potrzebuje. Wszystko to blednie wobec mowy tronowej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY SŁOWIAŃSKIE.

Zmiana taktyki politycznej Słowaków.—Wybory do Sejmu węgierskiego.—Wybory do wydziałów komitetowych.—Dążność do jedności kulturalnej z Czechami.—Słoweńcy i ich dążenie do otrzymania uniwersytetu.

Rok ubiegły zapisze się niezatartemi głoskami w dziejach rozwoju świadomości polityczno-narodowej Słowaków węgierskich. W tym bowiem roku Słowacy po raz pierwszy zerwali z dotychczasową taktyką *abstynencyi* i wzięli udział w wyborach do sejmu węgierskiego, a w parę miesięcy potem i do wydziałów komitatowych. Donosłość wyników tych wyborów nie da się mierzyć liczbą — bardzo skromną — zdobytych mandatów. Znaczenie ich polega głównie na przewrocie, jaki wywołały w zapatrywaniach sfer, kierujących życiem narodowem Słowaków z Madyarami. Dotychczas w tych sferach panowało przekonanie, że wszelka walka Słowaków z Madyarami na polu politycznem jest jałowa i niepotrzebna, a nawet wprost niemożliwa. Wszystkie nadzieje pokładano w pomocy zewnętrznej, która kiedyś miała zetrzeć na proch panowanie Madyarów i jednocześnie wprowadzić Słowaków do raju, gdzieby o żadnym ucisku nie mogło być mowy. To przekonanie zapuściło tak głęboko korzenie wśród starszej inteligencyi słowackiej, że, zdawało się, nic i nikt ich nie zdoła wyrwać. Inteligencya więc słowacka w dalszym ciągu uprawiała abstynencyę i powoli madyaryzowała się, a lud, o który nikt wśród Słowaków nie dbał, ginął z nędzy i upodlenia lub w najlepszym razie emigrował do Ameryki Północnej, szukając lepszej doli w kopalniach pensylwańskich.

Ale i na Słowiańczyznie zaczęło w końcu świtać. Garstka młodzieży słowackiej, studyująca w Pradze, zaczęła zwolna przejmować się wpływami czeskiego życia politycznego, i na losy własnego narodu zapatrywać się z innego stanowiska; zaczęła rozumieć konieczność pracy agitacyjnej, narodowo - politycznej wśród ludu. Z kół tej to młodzieży zawiał nowy wiatr na Słowaczyznie. Podjęto pracę wśród ludu, pojawił się organ, szerzący nowe poglądy, padło hasło czynnej akcyi politycznej i w końcu nawet starsza inteligencya słowacka, skupiająca się w Turczańskim Św. Marcinie dokoła Hurbana-Vajańskiego, musiała poniekąd uledz wpływom energicznej młodzieży. Do zwycięstwa jej poglądów przyczyniło się i stanowisko rządu węgierskiego.

Wiadomo powszechnie, czem były dotychczas wybory na Węgrzech. Stanowiły one jedno pasmo nadużyć i gwałtów wszelkiego rodzaju. Krew podczas wyborów lała się obficie. Tak np. podczas ostatnich, przeprowadzanych żelazną ręką Badeniego węgierskiego — hr. Banffy — padły 32 trupy. „Liberalne“ Węgry zakasowały więc najzupełniej stańczykowską Galicyę. Nowy minister prezydent, Szell, postanowił zbliżyć wybory do modły zachodnio - europejskiej, powodując wydanie (w r. 1899) prawa, zakazującego mieszania się urzędników do agitacyi i wyznaczającego poważne kary za przekupywanie lub spajanie wyborców. Otóż postępowcy słowaccy wskazywali konserwatystom nowe warunki, umożliwiające zaprzestanie abstynencyi i pokuszenie się bodaj o parę mandatów. Konserwatyści dość długo opierali się radom młodzieży, ale w końcu ustąpili, nie przypuszczając jednak żadnych innych wyników prócz kompromitacyi młodzieży i tryumfu pesymistycznych poglądów dotychczasowych „powag“ narodowych.

Wystawiono kandydatury słowackie tylko w 8 okręgach wyborczych, chociaż Słowakom należy się ze względu na ich liczebność conajmniej czterdziestu kilku posłów. Młodzież i nawet pociągnięci przez nią starsi przedstawiciele inteligencyi agitowali energicznie, a lud walczył z entuzyazmem o zwycięstwo pierwszych kandydatów narodowych. Walka była zacięta, bo rządowcy, pomimo nowego prawa, przekupywali i spajali wyborców bez żadnej ceremonii. Pomimo to Słowakom udało się zdobyć 4 mandaty. Wybrano 3-ch adwokatów i jednego księdza. I w czterech pozostałych okręgach szanse kandydatów słowackich były wcale nie złe, a jeden z nich, znany przywódca narodowy, Mudroń—upadł jedynie wskutek nadużyć.

Młodzież tryumfowała. Wbrew pesymi-

---

tłomaczyć — i w jej uczucia, bo je wykoleja.

Po za Serafiną Apolonia jest w doskonałym porządku ze światem. Ludzie są dla niej źli, i ona dla nich zła. W tym odwecie leży nawet uspokojenie i wdzięk jej życia! Serafina wprowadzała nieład w to prawo jej bytu — mąciła jednolitość stosunków jej z ludźmi.

Apolonia czuła, że dla tej istoty wyjątkowej trzeba było zrobić wyjątek...

. . . .

Tak, złem i demoralizującem jest to życie, którem rządzą nieubłagane prawa wojny!

Parcie egoizmów zbiorowych osacza jednostkę ściśniętem kołem sił brutalnych i groźnych, zmuszając ją do wysiłków nieustannych, śmiertelnych— gdy więc to „ja“ zziajane walką przeciw wszystkim rozjuszone, znajdzie gdziekolwiek punkt słabszy, opór miękі, to rzuca się nań z energią, aby zdobyć tę trochę wolnej przestrzeni, z której gdzieindziej wyparła je przewaga siły.

Tak to życie zmusza złych być najgorszymi — dla najlepszego!

I to jest rzeczą nieuniknioną.

To też rozum, prowadząc ścisłą kontrolę „konieczności“ przyrodniczych i moralnych, które takie a nie inne postępowanie wywołują, usprawiedliwia je zawsze; lecz ideał moralny „konieczności“ tych nie uznaje, nie chce wchodzić w układy z twardym musem życia i umie tylko nakazywać: „możesz, boś powinien“ i potępiać. Między koniecznością czynienia źle a naszemi aspiracyami do ideału toczy się wieczna walka, będąca źródłem najprzykrzejszych, wewnętrznych upokorzeń dla duszy — jedną z najgorszych nędz życia.

. . . .

Ta walka toczyła się w czarnej głowie Apolonii.

— Ach, panno Apolonio!.. i gdzież to się pani tak przed nami chowa? Czy to się godzi? — zabrzmiał wesoły głos Serafiny, która z koszem napełnionym ulubionemi przez starą pannę łakociami, stanęła przed nią znienacka.

Apolonia mimowoli cofnęła się w tył; na twarzy jej niemile odbiło się pomieszanie.

— To pewnie ta suknia tak ją martwi — pomyślała Serafina.

— Za suknię ślicznie pannie Apolonii dziękuję — rzekła głośno. — Jestem z niej bardzo zadowolona. Fason nadzwyczaj gustowny.

Apolonia uśmiechnęła się z przymusem.

— Możeby ją pani poprawić kazała... Stanik mi się cokolwiek nie udał...

— Iiii! co tam, moja droga, dla mnie i tak dobrze. Upewniam cię, że jestem kontenta... Spódnica tylko może odrobinę za krótka, ale pani musiało braknąć materyału, bo go było mało!

— Rzeczywiście — podchwyciła Apolonia, rada z podsuniętej wymówki. I zaczęła przepraszać za opóźnienie się z wykończeniem.

— Cóż znowu, czyż ja nie wiem, jak panna Apolonia zarzucona jest robotą! Zamęczone biedactwo, aż zmizerniało!.. Pani trzeba koniecznie jakiś czas u nas wypocząć.

Sama następnie z właściwem sobie dobrotliwem lekceważeniem, podsunęła jej bezczelnie wygórowaną cenę za robotę, która jej się należała. A widząc chmurną wciąż jeszcze twarz Apolonii, wydobyła z szafy piękną, jedwabną suknię i, choć żal jej było tego stroju, bo się przywiązywała do swych rzeczy, rzuciła ją niedbale na stół z wesołym grymasem:

— Tak już mi obrzydła, że zrobisz mi łaskę, jeśli mię od niej uwolnisz! — rzekła z udaną niechęcią i roześmiała się wesoło.

Oczy Apolonii zabłysły głębokiem, szyderczem zadowoleniem.

— Kapryśnica! — pomyślała — marnotrawnica!.. gorsza od innych, bo nie dba o to, co dla niej zapracowano!

. . . .

(C. d. n.).

styczným przewidywaniom konserwatystów słowackich, pierwsza próba udała się, pomimo, że agitacyę wśród ludu prowadzono przez krótki czas i bardzo doryweczo. Pokazało się, że nawet przy obecnym ucisku narodowościowym, panującym na Węgrzech, możliwem jest zwycięstwo, byle się zabrać do pracy i nie oczekiwać „pieczonych gołąbków“ z nieba.

Powodzenie przy wyborach sejmowych zachęciło Słowaków do wzięcia udziału w wyborach do wydziałów komitatowych, które są nadzwyczaj ważnem ciałem administracyjnem, czemś w rodzaju galicyjskiej rady powiatowej, połączonej ze starostwem. Na czele komitatu stoi żupan, urzędnik mianowany przez króla. Jego pomocnik — podżupan — jest urzędnikiem *wybieranym* przez wydział komitatowy na sześć lat. Otóż, kto ma większość w wydziale komitatowym, ten może wybrać swojego człowieka na stanowisko podżupana. Na czele okręgów, na które dzieli się każdy komitat, stoi t. zw. służny, również urzędnik wybieralny. Dotychczas Słowacy usuwali się najzupełniej od wyborów do wydziałów komitatowych, wskutek czego stały się one instytucyami czysto węgierskiemi, madyaryzatorskiemi. W następstwie tego wydziały komitatowe obradowały wyłącznie w języku węgierskim. Tymczasem, według praw węgierskich, na żądanie $1/5$ części członków wydziału komitatowego protokół obrad musi być prowadzony i po słowacku (względnie po serbsku, rumuńsku, niemiecku lub rusińsku). Jeśli $1/5$ wydziału komitatowego żąda tego,to i sądy komitatowe muszą uwzględniać język nie węgierski w dość znacznym zakresie. Jednem słowem w wydziałach Słowacy mogą skutecznie hamować zapędy systemu madyaryzacyjnego i bronić swych praw narodowych.

Zabrano się więc do agitacyi i wystawiono w kilku komitatach kandydatury narodowców. Wyniki wyborów, jakkolwiek dość skromne, napełniają jednak otuchą postępowców słowackich, pokazując im, że nawet tak krótkotrwała i słabiuchna jeszcze działalność, daje pocieszające rezultaty. W komitacie Liptowskim wyszło z urny 39 kandydatów słowackich, czyli nieco po nad $1/5$ część ogólnej liczby członków wydziału, co pozwoli w tym komitacie przynajmniej, wyciągnąć wszystkie konsekwencye z istniejących praw węgierskich. W innych komitatach do wydziałów weszło mniej Słowaków, ale, jeśli zważymy, że to była pierwsza próba otrząśnięcia się z dotychczasowej martwoty politycznej, to możemy uważać za pomyślny wynik wybór nawet 10—13 Słowaków do wydziału komitatowego.

Ożywienie się ruchu politycznego wśród Słowaków, wywołane pod działaniem prądów idących z Czech, nie jest jedynym wynikiem wzmagającego się na Słowiańszczyznie wpływu czeskiego. Ten ostatni daje się zauważyć i w dziedzinie czysto - kulturalnej, w kształtowaniu się poglądów młodszej inteligencyi słowackiej na przyszłość Słowaczczyzny.

Nietylko stan obecny, ale i dalsza przyszłość narodu słowiackiego nie może usposabiać narodowców do wielkiego optymizmu. Ludek to mały, zaledwie 2-milionowy, ubogi, o nizkim poziomie kulturalnym mas, o nadzwyczaj szczupłym samodzielnym dorobku cywilizacyjnym. Najgorętszy patryota nie może marzyć o jakiejś świetnej przyszłości Słowaczczyzny, której tradycye historyczne gubią się w pomroce dziejowej z doby fantastycznych Świętopełków czy Samonów. Nie może być również żadnej mowy o wszechstronnym rozwoju narodowej kultury Słowaków, nauki, literatury i sztuki. Kultura słowacka na zawsze pozostanie latoroślą nikłą, słabą, pozbawioną przyszłości. Literatura będzie zaspakajała potrzeby ludu i nielicznej garstki inteligencyi, która jednocześnie nie będzie się mogła obyć bez karmi codziennej w języku obcym.

Im bardziej to przekonanie szerzy się wśród inteligencyi słowackiej, tem silniejszą staje się jej dążność do zbliżenia się z Czechami. Sprawa wzajemności czesko-słowackiej jest coraz bardziej na czasie, pomimo że starsze pokolenie wciąż jeszcze oczekuje „pieczonych gołąbków“ stamtąd, skąd one nigdy nadlecieć nie mogą. Wśród młodzieży obecnie jest dość dużo już zwolenników stopniowego zlania się Słowaków z Czechami. Naturalnie, nikt z tej młodzieży nie dąży bynajmniej do zupełnego zaprzestania pracy literackiej w języku słowackim, gdyż skoro idzie o oświatę ludową, ta nie może być podawana w języku innym, lecz tylko w mowie ludu. Młodzieży tej jednak chodzi o wytworzenie łączności kulturalnej pomiędzy *inteligencyą* czeską a słowacką.

Należy pamiętać, że język słowacki znajduje się w bardzo blizkiem pokrewieństwie z czeskim, tak że Słowak, czytając książkę czeską, wymawia niektóre wyrazy czeskie wprawdzie odmiennie, ale rozumie ją prawie bez przygotowania. Ułatwia to bardzo Słowakom korzystanie z zasobów literatury czeskiej. Następnie już dzisiaj Słowacy, zamieszkujący połeć Moraw austryackich, przytykających bezpośrednio do Słowaczczyzny węgierskiej, nie wyodrębniają się od Czechów, a inteligencya morawsko-słowacka stanowi jedną całość z czeską. Dalej literatura czeska, zwłaszcza religijna i beletrystyczna, już obecnie bardzo się szerzy wśród Słowaków węgierskich, przyczyniając się do utrwalenia i ożywienia tych pozostałości czeszczyzny, jakie przechowały się u Słowaków z dawniejszych czasów, kiedy kultura wraz z językiem literackim była wspólna u Słowaków i Czechów. W końcu znaczny jest wpływ tej młodzieży słowackiej, która, wychowując się na uniwersytecie praskim, staje się gorącą zwolenniczką wzajemności czesko-słowackiej, prowadzącej do wytworzenia w dalszej przyszłości jedności narodowej Czechów i Słowaków.

Prąd ten, jakkolwiek dotychczas dość jeszcze słaby, posiada tak na Słowaczczyznie, jak i w Czechach sporo zwolenników. Nie wiadomo, jakie będą losy tego prądu, w każdym razie w obecnej dobie dalszego różniczkowania się i wyodrębniania narodowości stanowi on zjawisko wyjątkowe.

Coś podobnego daje się zauważyć chyba u Słoweńców, których język znajduje się w takim samym stosunku do serbo - chorwackiego, jak słowacki do czeskiego. Otóż wśród Słoweńców istnieje prąd do przyjęcia języka serbo-chorwackiego za literacki, ale prąd ten posiada dotychczas bardzo mało zwolenników, choć ogólna liczba Słoweńców jest daleko mniejsza od liczby Słowaków.

W ostatnich czasach wśród Słoweńców bierze górę kierunek, dążący do utrwalenia samodzielności kulturalnej narodu słoweńskiego. Jednym z objawów tego kierunku jest domaganie się założenia uniwersytetu słoweńskiego w Lublanie lub przynajmniej utrakwizacyi uniwersytetu (obecnie niemieckiego) w Gracu.

Dążenie Słoweńców do otrzymania własnego uniwersytetu datuje się od bardzo dawna, albowiem jeszcze w r. 1787 stany kraińskiego sejmu ziemskiego żądały założenia wydziału filozoficznego w Lublanie. W latach 1810—13 za stworzonego przez Napoleona I królestwa Iliryi, w Lublanie istniał uniwersytet o czterech wydziałach, ale wykładano na nim tylko po francusku i po włosku. Po upadku Napoleona, a wraz z nim królestwa Iliryi, znikła i „école centrale“ lubłańska. Dopiero w r. 1848 powstała myśl założenia wyższego *słoweńskiego* zakładu naukowego w Lublanie. Rząd odpowiedział przychylnie na podanie „Towarzystwa Słoweńskiego,“ ale władze miejscowe uniemożliwiły w zarodku wykonanie projektu. Wszystko skończyło się na luźnych wykładach z dziedziny prawa karnego i cywilnego w Lublanie i w Gracu. W latach 1850—1856 istniały trzy katedry słoweńskie w Gracu. Z nastaniem reakcyi w Austryi zaprzestano wykładów słoweńskich. Dopiero w erze konstytucyjnej znowu podniesiono myśl uniwersytetu słoweńskiego.

Uchwała co do tego zapadła na olbrzymich wiecach ludowych, z których jeden—wiżmarski—liczył przeszło 30,000 uczestników. Sejmy kraiński i gorycki uchwalają odpowiednie wnioski, a deputowani słoweńscy w wiedeńskiej radzie państwa dopominają się o spełnienie żądań narodu słoweńskiego. Na skutek tego wszystkiego w projekcie budżetu na rok 1871 znalazła się nota 3600 złr. na wynagrodzenie docentów-Słoweńców na uniwersytecie w Gracu. Jednakże w komisyi budżetowej pozycyę tę wykreślono. W r. 1890 sejm kraiński żądał założenia słoweńskiej akademii prawniczej w Lublanie, a w 8 lat później ten sam sejm uchwalił wyasygnowanie ½ miliona koron na założenie uniwersytetu w Lublanie. Rada miejska Lublany wyznaczyła od siebie na ten sam cel 100,000 koron. Od tego czasu agitacya nie milknie, ale dotąd niema ona powodzenia.

Slawista

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Najpilniejsza potrzeba.

Stosunkowo sporą listę nieszczęśliwych pomysłów zapychania literatury polskiej tłomaczoną starzyzną zbogaciła krakowska Akademia Umiejętności projektem wydania przekładów dzieł z przed VII w. po Chrystusie. Nie chodzi zaś jej wyłącznie o „autorów klasycznych, pierwszorzędnych i najzasłużeńszych“ Przyjmie ona także prace pisarzy chrześciańskich, przyrodników i lekarzy z tej epoki. *C'est Boulanger qu'il nous faut.* Jest to nieszczęściem prawie wszystkich akademij, że one nie odczuwają potrzeb swojego czasu i że dla nich to jest ważne, cenne, wielkie, co już nadpróchniało. Nie mogą one zrozumieć bardzo prostego faktu, że starych dokumentów myśli ludzkiej ogół nie czyta i nigdy czytać nie będzie, a szczupłe grono badaczów może je poznać w oryginałach lub bardzo ścisłych tłomaczeniach obcych. Starać się o to, ażeby ubogie nasze piśmiennictwo przyswoiło swojemu językowi dzieła starożytne i średniowieczne — jest czczą fanfaronadą i marnotrawstwem środków, których brak na najwyklejsze podręczniki. Radzimy wszystkim, nie wyłączając Akademii Umiejętności, przeczytać wyborny artykuł statystyczny p. Krzeczkowskiego w ostatnim tomie „Poradnika dla samouków.“ Z tego zestawienia okazuje się, że nasza literatura naukowa stoi na najniższym poziomie narodów oświeconych, że wytwórczość swojska w tej dziedzinie jest nadzwyczajnie skromna, że ratujemy się dorobkiem cudzym za pomocą przekładów i że są gałęzie wiedzy, w których nie posiadamy ani jednej książki polskiej bądź oryginalnej, bądź tłomaczonej. I wobec takiego ubóstwa są dobrodzieje, którzy chcą nas obdarować przekładami dzieł z przed VII wieku po Chrystusie! Zaiste „śpiący na jawie“ — jak mawiał Grzegorz z Sanoka.

Zapis obywatelski.

Najhojniejsze, najliczniejsze i najbardziej potrzebom społecznym odpowiadające zapisy dobroczynne wychodzą u nas ze sfery mieszczańskiej. Jest to objaw bardzo naturalny. Arystokracya stoi po za narodem, zamknięta w samolubstwie i zwyrodnieniu, ziemianie przeważnie „wiążą koniec z końcem," a lud na szczodre ofiary grosza nie ma. Pozostaje więc tylko warstwa „stanu trzeciego" jako dochodowy pokład filantropii. W ubiegłym tygodniu otrzymała ona znowu znaczny dopływ. Zmarły J. J. Stern przeznaczył „cały swój majątek na użytek społeczny": dla Kasy Mianowskiego (10,000 rb.), szpitala starozakonnych (20,000), gminy starozakonnych (18,000), resztę (około 200,000) dla warsz. Towarzystwa dobroczynności. Po za legatami wyznaniowymi testator zastrzegł przy wszystkich pozycyach, ażeby zapomogi, wsparcia i stypendya rozdzielone były w połowie między katolików i żydów. Ubocznym, choć nie mniej dosadnym wyrazem jego uczuć było życzenie, zamykające ostatnią jego wolę, mianowicie, ażeby na nagrobku pomieszczony był napis tylko w języku polskim, oraz aby na nim wypisane było zwykle używane przez zmarłego imię Jan lub Jan i Joachim.

Zapis ten zdejmie z wielu biedaków ciężary życia, ale włoży ogromne brzemię troski na... antysemitów i syonistów. Pierwsi będą zmartwieni uczciwością Żyda, a drudzy — jego przeniewierstwem względem narodu izraelskiego, który przecież ma swoją skarbonkę w Londynie, a tak dużo jeszcze potrzebuje na założenie własnego państwa w Palestynie.

Namyślił się.

P. Wojciech Kossak, obsługujący swym pędzlem cesarza niemieckiego i dla tego użytku mieszkający w Berlinie, niepytany, nieproszony, oświadczył przez dzienniki, że i on także wyciągnął dla siebie wskazówkę ze sprawy wrzesińskiej i opuszcza swoją przydworną pracownię. Szczerze mówiąc, zdziwiliśmy się bardzo temu nagłemu wybuchowi patryotyzmu, bo p. Kossak miał już wiele sposobności do poczucia obowiązku porzucenia swej służby, a jednak w niej pozostał. Tymczasem ogłoszono drugi biuletyn o stanie osłabionego gustu tej polsko-pruskiej duszy, w którym już p. Kossak sam oznajmia, że nie opuści swego stanowiska, bo mu *wytłomaczono*, że podobnych warunków pracy nigdzieindziej by nie znalazł. Najzupełniejsza racyal.. Ale dlaczego p. Kossak wcześniej jej nie dostrzegł i niepotrzebnie zmącił zarówno ufność tych, którzy mu dają zarobek w rozsławianiu tryumfów wojska pruskiego, jako też nasze o nim przekonanie, które go uważa za całkiem odpowiedniego do tych „wzlotów na skrzydłach sztuki"? Daleko lepiej było nie podnosić nogi, gdy kuto konia poznańskiego, siedzieć cicho przy swym warsztacie i zamazywać płótna krzyżacką chwałą.

Cnota uciśniona.

Coś się popsuło w państwie duńskiem! syki zawiści nie dają spać nawet najbardziej zasłużonym. Niedawno p. Eligiusz Niewiadomski w *Kuryerze Warszawskim* ośmielił się wystąpić z szeregiem zarzutów przeciw twórcy pomnika Mickiewicza p. Cypryanowi Godebskiemu, teraz znowu w *Gazecie Polskiej* p. Aleksander Reichman został skrzywdzony przez p. Tołwińskiego za gmach Filharmonii. Oba głosy zasługują na uznanie, jako wyrażenie zdania ludzi fachowo uzdolnionych, a więc znających się na rzeczy; niema ani w jednym, ani w drugim artykule gołosłownych ogólników, lecz umiejętne i przedmiotowe przedstawienie sprawy i spowiedź z grzechów i grzeszków obu pokrzywdzonych. A grzechom tym na imię: bezmyślność, niedbalstwo, prywata, lekkomyślne szafowanie grosza publicznego. P. Godebskiemu wykazuje się, iż za twórstwo pomnika, pobrał bajeczne wysokie wynagrodzenie, o p. Reichmanie zaś, mówi się grzecznie, iż dla tego *foyer* w Filharmonii jest tak mikroskopijne, że poumieszczone tu lokale, „jeżeli w zasadzie niezbyteczne, to ze względu na szczupłość budynku są w nim niewłaściwe" (czytaj — apartament p. dyrektora). Coś się popsuło w państwie duńskiem. *h.*

Nowy sabat dla grafomanów.

Dziennik łódzki *Rozwój*, ogłosił konkurs dramatyczny imienia Henryka Sienkiewicza. Napozór wszystko zdaje się zapowiadać jak najlepiej: ustanowiono 3 nagrody (rb. 1000, 300 i trzecia t. zw. od publiczności); widzowie przez głosowanie kartkowe sami mają wskazać dzieło, godne uwieńczenia, z pośród kilku najlepszych, które będą wystawione w teatrze łódzkim; na członków wreszcie sądu konkursowego powołano grono najpoważniejszych przedstawicieli naszej krytyki literackiej. Ale... bo to niesforne „ale" wszędzie wtrącić się musi — jeżeli cofniemy się myślą ku czasom ubiegłym i przypomnimy sobie, jakie wyniki dawały nasze dawniejsze konkursy dramatyczne i powieściowe, żal serce ściśnie. Bo czyż nie szkoda czasu i trudu tych kilkunastu ludzi, którzy wzięli na siebie niewdzięczne zadanie grzebania w śmietniku stu kilkudziesięciu potworków estetyki, logiki, sensu, gramatyki i ortografii, by wyłowić kilka ziarnek. Tymczasem pozostaje owe sto kilkadziesiąt utworów nienagrodzonych, inaczej mówiąc, stu kilkudziesięciu grafomanów, zawiedzionych, zgryzionych, żółciowych, w sobie zakochanych, których każdy konkurs unieszczęśliwia. Czasem oni unieszczęśliwiają piśmiennictwo, jak p. Gąsiorowski,—który zaczął swój zawód literacki od dramatu konkursowego *Szare życie* grane równocześnie z *Flirtem* i *Nauczycielką*,—osławiony redaktor *Strumienia*, autor kilku piśmideł w rodzaju *Pamiętników nowonarodzonego*, ostatnio kierownik literacki jakiegoś tingel-tanglu. Takich laureatów nam nie potrzeba. *h.*

Syndykat naftowy w Warszawie.

Warsz. Dniewnik obwieścił publicznie, iż od paru miesięcy istnieje w Warszawie syndykat naftowy. Zmowę stwierdzają fakty: pomimo iż na miejscu produkcyi — w Baku — ceny nafty spadają nieustannie, w Warszawie rosną one stale. Otóż okazuje się, iż największe Towarzystwa: Braci Nobel, Kaukaz, Mazat, Wschodnie, Wołżańsko-Kaspijskie, posiadające swoje własne cysterny i składy, nie poprzestając na świetnych zyskach w latach ubiegłych, postanowiły trzymać się jednej ceny, po której sprzedają produkt ograniczonej liczbie odbiorców hurtowych (około 20-tu). Tym sposobem między Towarzystwami niema już dziś współzawodnictwa, nowi zaś członkowie nie mają wstępu do syndykatu. Pomimo zresztą najszczerszych chęci, żadne inne Towarzystwo nie mogłoby się usadowić i rozwinąć swych działań w naszem mieście z powodu zupełnego braku miejsca we wszystkich składach (na Powązkach, Pelcowiznie, stacyach Praga - Terespolska i Praga - Nadwiślańska). Urządzenie zaś własnego składu pociągnęłoby tak olbrzymie koszty i trudności, że na ten krok nie mogłoby się zdecydować nawet wielomilionowe Towarzystwo Mantoszew i S-ka, posiadające swego przedstawiciela w Warszawie. Niektórzy prywatni handlarze, chcąc zwalczyć ceny nadmiernie wyśrubowane, próbowali sprowadzać naftę bezpośrednio wagonami z Baku. Ale i ten środek okazał się niemożliwym, nie posiadając bowiem wagonów cysternowych, musieliby płacić kolejom zbyt duże sumy za nieopróżnienie wagonów w ciągu doby. Nadto, przewóz nafty z Kaukazu trwa około dwóch tygodni; chcąc tedy otrzymywać produkt bez przerwy, należałoby rozporządzać znacznym kapitałem.

Syndykat ustanowił ceny nadmiernie wysokie: 1 rb. 39 kop. za pud w sprzedaży hurtowej. Odbiorcy zaś hurtowi doliczają sobie straty, spowodowane przez rozlanie i wyciekanie. Skutkiem tego kilkaset sklepów (mydlarni) w Warszawie płaci po 1 rb. 45 kop. za pud. Ostatecznie cały ciężar spada na wielotysięczny ogół spożywców. Pomimo nadzwyczajnie wyśrubowanych cen, syndykat podnosi je w dalszym ciągu co kilka dni. Rabunek ten panuje wszechwładnie, tem bardziej, że dziś nafta amerykańska jest już całkowicie wyparta z rynków naszych.

Jedyną radą na to byłoby zawiązanie stowarzyszenia spożywców, które mogłoby się zdobyć na własne wagony - cysterny i sprowadzać naftę bezpośrednio z Baku. Zdaje się, że o takie stowarzyszenie nie byłoby trudno, gdyż do ogółu spożywców należą także liczne fabryki i zakłady przemysłowe, zużywające znaczne ilości nafty.

z. p.

BADANIA NAUKOWE.

Stosunek jednostki do społeczeństwa

I TECHNIKI DO GOSPODARSTWA NARODOWEGO.

—•—

I.

Od pewnego czasu kwestya materyalizmu dziejowego nie schodzi ze szpalt *Prawdy*. Poruszył ją naprzód p. Krauz w obszernym artykule krytycznym o mojej pracy „Zur Erkenntnislehre der volkswirtschaftlichen Erscheinungen." Wkrótce potem ogłosił on znów artykuł o istocie materyalizmu dziejowego, oraz recenzyę pracy Abramowskiego: „Pierwiastki indywidualne w socyologii," a w ostatniej znów chwili referat o współczesnym ruchu społecznym w Niemczech, wywołanym przez Bernsteina.

We wszystkich tych artykułach p. K. Krauz, idąc zresztą utartym śladem wszystkich rzeczników i obrońców materyalizmu dziejowego, utożsamia go niemal z naukowem, przyczynowem traktowaniem zjawisk społecznych, dając do zrozumienia, że wszystko, co jest materyalizmem dziejowym — to pusta utopia, niemająca nic wspólnego z przyczynowem tłomaczeniem życia społecznego.

Jest to wszakże tylko subjektywny pogląd wyznawców doktryny Marxowskiej. Sami marxiści przyznają, że społeczno-filozoficzna ich teorya dotychczas nie znalazła zupełnego, systematycznego opracowania, gdy odwrotnie wszystkie znane nam systematy socyologiczne są wręcz anty-materyalistyczne, oraz że doktryna materyalizmu dziejowego inaczej jest tłomaczona przez każdego niemal ze współwyznawców. Już ten fakt nakazywałby im nieco więcej samokrytyki.

Zapewne nie przesądza to jeszcze sprawy. Argumenty literacko-historyczne, na wzór podanych przez Massaryka, iż oświadczenia Marxa i uczniów jego pełne są sprzeczności, że im dalej tem więcej materyaliści robią koncesyj swym krytykom, żądającym równomiernego uwzględnienia wszystkich duchowych jak i materyalnych warunków i czynników życia społecznego — argumenty te dowodzą jedynie małego opracowania doktryny materyalizmu dziejowego, lecz jeszcze nie błędności jej. W każdym razie jednak wystarczają one aż nadto,

by przedstawić we właściwem świetle uroszczenia marxizmu do nazwy „naukowego" systemu społecznego, w przeciwstawieniu do wszelkich innych systemów.

Ten brak jednolitości w poglądach wyznawców materyalizmu dziejowego, ta fragmentarna, aforystyczna forma dotychczasowych sformułowań ich doktryny ułatwia im znakomicie pozorną obronę swych stanowisk w rozprawach polemicznych. Zawsze bowiem mogą się bronić twierdzeniem, iż zarzut ten dotyczy nie „materyalizmu," lecz jednostronnego jego tłomaczenia. A to tem łatwiej im przychodzi, że nawet w pismach zarówno Marxa, jak i Engelsa, nietylko co chwila spotykamy się z innym wykładem zasad materyalizmu dziejowego, lecz nieraz i ze zdaniami, stojącemi w krzyczącej sprzeczności z całokształtem ich pojęć.

Pozwala to więc np. p. Krauzowi odpowiadać cytatą z „Kapitału" na wszelką krytykę społeczno-filozoficznego materyalizmu Marxa, sformułowanego w „Manifeście komunistycznym," w „Nędzy filozofii" i w „Świętej rodzinie," a głoszącego, że istotą życia społecznego są wyłącznie „formy produkcyi," zależne od stanu techniki i rozwijające się „samorzutnie" wedle prawa dyalektyki (teza, antyteza, synteza), gdy prawo, moralność, polityka, ideały stanowią złudne jeno odbicia, w świadomości naszej (Trugschein) odbywających się, zmian produkcyi. Cytata owa jest wyjęta z rozdziału „Towar jako fetysz," w którym Marx zarzuca ekonomii klasycznej, iż z wzajemnych stosunków ludzi zrobiła wzajemne stosunki towarów. Marx, krytykując tu swych przeciwników, drwi z ich błędów, sam jednak gorzej jeszcze grzeszy. W każdym innym wypadku niekonsekwencya taka musiałaby osłabić powagę uczonego i jego doktryny. Lecz marxiści, tak jak kościelni scholastycy średniowieczni, w sprzecznościach swych „ksiąg" widzą tylko ich wszechstronność.

I w tem są oni jeszcze podobni do „prawowiernych" pisarzy kościelnych, że gotowi są zawsze do swej doktryny wciągnąć jak najwięcej obcych żywiołów, byle uratować samą doktrynę, choćby z imienia. Pierwotnie materyalizm dziejowy głosił, że jedynie rozwój form produkcyi stanowi istotę zjawisk społecznych, stawiając tę pierwszą w bezpośredniej łączności z postępem techniki, albo rozszerzając pojęcie form produkcyi do znaczenia całości stosunków narodowo-gospodarczych. Pod koniec życia swego Engels złagodził nieco tę pierwotną jednostronność swej doktryny, oświadczywszy, że nietylko stosunki ekonomiczne wpływają na kształtowanie się politycznych, lecz i odwrotnie, oraz że świadomość jednostki nietylko odzwierciedla w sobie przebieg zjawisk społecznych, lecz również jest ich czynnikiem. Oświadczeniem tem Engels zaprzeczył w gruncie rzeczy swemu poprzedniemu stanowisku, które zajął był wraz z Marxem w „Manifeście komunistycznym" i „Świętej rodzinie." Bo tam dowodził on, że istota zjawisk społecznych jest nawskróś jednolita i materyalna. A tylko naiwnej naszej świadomości przedstawia się w formie różnorodnych, nieustannie krzyżujących się stosunków społeczno-duchowych, prawnych, politycznych, religijnych itd. Tu jednak rezygnuje on z filozoficznego określenia „istoty" życia społecznego, z monizmu materyalistycznego, którym się uprzednio chełpił, wołając, że tylko on i Marx, przedstawiciele klasy robotniczej, utrzymują tradycyę filozofii niemieckiej, szukającej po za fenomenami istoty rzeczy. Bo zamiast jednolitej istoty społeczeństwa, jak dawniej, szuka on już tu tylko najważniejszego składnika z pośród tych, które w świadomości naszej składają się na całokształt życia społecznego. Uznaje więc już współzależność zjawisk politycznych, prawnych, ekonomicznych, moralnych nie za złudzenie (Trugschein), lecz za rzeczywistość. I pyta się jeno, czy współzależność ta jest równomierna, czy czasami jeden ze składników nie jest ważniejszy od innych, odpowiadając: „zjawiska ekonomiczne są podstawą całego życia społecznego, wpływ ich jest bowiem silniejszy na kształtowanie się zjawisk publicznych, moralnych itd., tak iż wszelka ważniejsza zmiana w tych ostatnich musi być poprzedzona zmianą stosunków społeczno-gospodarczych."

Przyznanie pierwszej roli zjawiskom ekonomicznym w rzędzie składników życia społecznego miało niby ratować doktrynę materyalizmu dziejowego, wykazać, że jeśli zaszła potrzeba rozszerzenia jej, to przecież zasadnicze jej twierdzenie pozostaje wciąż słusznem.

Gdy jednak cała oryginalność materyalizmu dziejowego Marxa i Engelsa leżała w transcedentalnym materyalizmie tej doktryny w przeciwstawieniu do transcedentalnego idealizmu historyozofii heglowskiej — więc też porzucenie transcedentalnego materyalistycznego stanowiska oznacza nie rozszerzenie, lecz naprawdę zaniechanie doktryny materyalizmu dziejowego. Boć przecież nikt nie wątpi, że wśród wzajemnie uzależniających się różnych stron życia społecznego, stosunki gospodarcze są dla nas najważniejsze. Toć jawnie głosił to Platon i Arystoteles i wszyscy pisarze polityczni, kościelni. Toć dalej cała literatura kameralistyczna XVI i XVII wieku za podstawową zasadę miała, iż szczęście narodów i siła polityczna państw przedewszystkiem od bogactwa krajów zależy. A Monteskiusz, a Mirabeau, i wreszcie wszyscy ekonomiści kierunku klasycznego! To, że sprawy gospodarcze są dla nas najważniejsze, że więc dobrobyt stanowi podstawę szczęścia narodów, że wszelka polityczna i prawna reforma wymaga odpowiedniego uregulowania kwestyi ekonomicznej, jeśli ma być skuteczną, że nader często w podstawie spraw i walk politycznych, religijnych itd. kryją się interesy ekonomiczne — to są stare jak świat prawdy zwykłego życiowego doświadczenia, nie żadne socyologiczne, czy też historyozoficzne odkrycia.

Tak więc Engels chcąc „rozszerzyć" swą doktrynę *de facto*, wrócił do punktu wyjścia wszelkich dociekań historyozoficznych, do codziennej naszej obserwacyi. I w tej chwili wyznawcy materyalizmu dziejowego wyrzekają się wogóle — wyjąwszy jednego Plechanowa—transcedentalnego monizmu materyalistycznego. Co prawda Kautzky apeluje jeszcze do psychologii materyalistycznej, by objaśnić przy jej pomocy, w jaki to sposób zmiany technicznych form produkcyi mają się przedzierzgać w odpowiednie idee w świadomości ludzi. Lecz i on stara się tu raczej udowodnić tylko, że czynnik gospodarczy jest najsilniejszym wśród reszty składników życia społecznego, że wszelka ważniejsza zmiana stosunków społecznych przedewszystkiem przedstawia się jako przemiana form społeczno-gospodarczych, że więc reforma ideałów politycznych, moralnych narodu o tyle tylko wpłynąć może na reformę społecznego współżycia, o ile się ona znajduje w zgodzie z gospodarczą ewolucyą kraju. Kwestyę zaś istoty zjawisk społecznych pomija on zgoła milczeniem. Wielu zaś innych nowszych pisarzy marxistycznych wyrzeka się nawet wszelkiej filozofii i psychologii materyalistycznej. Do rzędu tych należą u nas pp. Krauz i Abramowski. Co więcej, obaj oni uznają zjawiska społeczne bez zastrzeżeń za zjawiska duchowe i istotę społeczeństwa widzą w formach wzajemnych duchowych stosunków ludzi i grup ludzkich, zatem w naszych stanach świadomości. Stoją więc oni w zasadniczem nawet przeciwieństwie do monizmu materyalistycznego. Cały ich materyalizm dziejowy polega na tem, że według nich: 1) wszelkie zjawisko psychiczne o tyle tylko może się stać faktem społecznym, o ile uzewnętrzni się w jakiejś rzeczy materyalnej; 2) wszelki bodziec do przemian zjawisk społecznych źródło swe ma w zmianach gospodarczej działalności narodów. Lecz w sposobie pojmowania tych dwóch zasad różnią się oni między sobą zasadniczo.

Krauz odbiegł mniej daleko od „prawowiernych" wyznawców marxizmu. Nie chce więc on się zgodzić na twierdzenie Abramowskiego, by jakiekolwiek zjawiska współżycia społecznego mogły się kształtować niezależnie od ekonomicznego rozwoju. Według niego i filozofia, i matematyka, i poezya zawsze się znajdują w bezpośredniej zależności od gospodarczego stanu narodów. Dalej, Krauz, nie mogąc zaprzeczyć realnego istnienia zjawisk politycznych, moralnych i prawnych, siląc się nawet dowieść, że materyalizm ekonomiczny nigdy ich za prosty tylko epifenomen nie uważał, chce jednak zjawiskom ekonomicznym wyznaczyć, panujące nad niemi, miejsce nietylko ilościowo, lecz i jakościowo różne od reszty zjawisk społecznych. Więc zwie on je treścią życia społecznego w przeciwieństwie do zjawisk politycznych, moralnych, prawnych, religii, nauki, poezyi itd., które mają jakoby stanowić formę społecznego bytu. Czasami zastępuje on terminy „treść" i „forma" przez terminy: „podstawa" i „nadbudowa." Natomiast Abramowski zdaje się zgoła nie uznawać całej tej klasyfikacyi zjawisk społecznych za stanowiące treść i formę życia społecznego. Dla niego głównem zagadnieniem jest kwestya psychologicznej motywacyi dążeń i działalności społecznych, a zwie się on materyalistą dziejowym, ponieważ sądzi, że najważniejszym motywem (obok wielu innych) przemian społecznych są zmiany w stosunku napięcia naszych kulturalnych potrzeb do technicznych naszych uzdolnień, zmiany powstające przedewszystkiem dzięki nieustannemu postępowi techniki.

Zapewne, mimo tych tak licznych i ważnych różnic w zapatrywaniach zwolenników „materyalizmu dziejowego" na treść ich doktryny — krytyczna ocena materyalizmu dziejowego, a raczej różnorodnych jego odmian, coraz to się mnożących, nie jest rzeczą niemożliwą. Tu jednak na łamach tygodnika ocena taka byłaby zgoła bezcelową. Bo albo musiałaby ona być nader sumaryczną, albo też dotyczyć jedynie wywodów i zapatrywań naszych polskich, a specyalnie nawet warszawskich „materyalistów," jako to: Krzywickiego, Krauza, Abramowskiego. W tym ostatnim zaś wypadku z konieczności rzeczy analiza taka przybrałaby formę polemiki, sporu z ogłaszanymi również przeważnie w *Prawdzie* artykułami wspomnianych autorów.

Lecz powiedział ktoś bardzo słusznie, że polemika — to młot, wbijający jeszcze głębiej ćwieki doktryn, o które spór się toczy, w mózgi, spierających się, stron. O to mi jednak wcale nie chodzi, lecz przeciwnie chciałbym widzieć jak najprędzej wyzwolenie się naszej inteligencyi z pod panowania wszelkich doktryn, z niewoli wszelkich „izmów"; więc też myślę, że ku wyjaśnieniu istotnej wartości doktryny „materyalizmu dziejowego," lepiej się przyczyni do krytyki tego ostatniego wyłącznie pozytywny rozbiór zagadnień stosunku techniki do gospodarstwa narodowego i jednostki do społeczeństwa.

Ostatnie z tych pytań jest zasadniczem pytaniem wszelkiej nauki społecznej. Dopóki nie zrozumiemy, na czem stosunek ten polega, to i życia społecznego wogóle rozumieć nie możemy. Pierwsze zaś jest decydujące dla całej nauki gospodarstwa narodowego. Póki go nie rozwiążemy, nie możemy zrozumieć, czem są zjawiska narodowo-gospodarcze, a tem bardziej już ich stosunku do reszty zjawisk społecznych.

To też punkt ciężkości każdego systemu socyologicznego, każdej doktryny społeczno-filozoficznej lub historyozoficznej leży właśnie w sposobie pojmowania stosunku jednostki do społeczeństwa, a każdego systemu ekonomicznego lub doktryny społeczno-filozoficznej, wysuwającej na pierwsze miejsce czyniki gospodarcze współżycia społecznego — w odpowiedzi na stosunek techniki do ekonomii, względnie techniki, techniki pracy gospodarczej do formy życia społecznego. W tem ostatniem położeniu znajduje się materyalizm dziejowy.

Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Ada Negri. *Niedola. Burze*, przekład Maryi Konopnickiej. Warszawa 1901. — Marya Konopnicka: *Italia.* Warszawa. Kraków. 1901.

II.

Blaski i cienie wciąż się przeplatają w poezyi Ady Negri, czasem w kolejno po sobie idących zwrotkach. Obok wizyj pogodnego jutra, ileż znajdziemy tu obrazów posępnych, wywołanych smutną rzeczywistością! Z jej pieśni bije zdrój gorącego współczucia dla biednych, upośledzonych braci, dla siostry, która z łoża cudzego wstaje i wsiąka „w mgłę zimną, w cień głodu i w opuszczenie.“ A to słowo *braci* nie jest symbolem sentymentalno-filantropijnego roztkliwienia; to poczucie żywej, fizycznej niemal spójni z cierpiącymi i odepchniętymi od uczty, zastawionej przez przyrodę dla wszystkich stworzeń. Oddaliwszy się od szarej ciżby polotem swego ducha, nie odeszła od niej sercem. „*I jam* ścierniska jest kwiatem.“ To „i ja“ nietylko istnieje w jej świadomości, lecz za każdym skurczem serca rozpoczyna wciąż i wciąż swą wędrówkę w żyłach wraz z krwią... Czując się tak bliską rodziny swej, wspólne z nią miewa odruchy na ciosy nieszczęścia. Zapewne, bolesnem echem w duszy odzywa się krzyk: „ręka w młocarni“; ale jej wyobraźnia podąża natychmiast torem myśli tej nieszczęśliwej, której mąż uległ w walce z falą: „niby ostre noże, uparta myśl serce psuje: *chleb* jej i dzieci porwało dziś morze... zginął żywiciel, zagasło ognisko...“ Ada Negri nie idealizuje nędzarza. Dostrzega i brud na ciele, i skazy na duszy. Ale serce jej bije miłością... W tętnie zaś jego dokładnie wyróżniamy pewne szczególne drgnienia. Można rzec, iż poetka często nie liczy ran zadanych, nie zbiera do urny łez wypłakanych; lecz natomiast nieskończenie żal jej uśmiechów szczęścia nigdy nierozkwitłych, radości — nigdy nie doznanej, która przecież jest prawem każdej istoty ludzkiej. „W półzmierzchu przechodzą przede mną posępne widma kobiece w milczeniu, i mary dziewcząt ze skargą daremną, przechodzą, patrzą i giną w półcieniu. I one były piękne. Włos ich złoty miał w sobie słońca lipcowego pyły. A *niekochane przecież, bez pieszczoty*, w grób zapomnienia wiecznego zstąpiły.“ W słowach tych, zda się, brzmi oddźwięk własnej tęsknoty poetki do szczęścia. I oto znowu poezya osobista i ogólno-ludzka spływają w jedno łożysko.

Nie wiem, jakie jest teraz położenie Ady Negri. Otoczona aureolą sławy, zyskała oddanych sobie przyjaciół. Twarda jej dola zapewne lżejszą się stała. Ale wówczas, gdy do wtóru jej przygrywały „Niedola“ i „Burze“ wówczas od najbiedniejszych sióstr swoich bywała biedniejszą, gdyż wątlejsze od nich miała barki i głębiej od nich opuszczenie swe odczuwała. Ale była jednocześnie i szczęśliwą, gdyż miała dla siebie swe wizye słoneczne, miała ukochanie sztuki, ukochanie swych natchnień, nawet tych bojów wewnętrznych, które z piersi jej wyrwały wielki pean „miłości, co świat odradza bez końca, jako pocałunek słońca płodna, a wiekuista, jak posiew żywota.“

Wśród pokaźnej liczby utworów, składających się na nowy zbiorek Konopnickiej, coraz to spotykamy jakieś cacko (wśród nich przeważają sonety), rzeźbione miękko i kunsztownie, jak posążki z drogiego materyału. Nic dziwnego, bo przecież wykuła je artystka, bo przecież są one odbiciem dzieł wiecznego piękna, przed któremi wieki schylają głowę, są odbiciem szafirów włoskiego nieba i włoskiego morza. Ręka to wprawna trzyma dłuto; z natężoną uwagą śledzimy jego poruszenia... Mimo to wszystko w twórczości Konopnickiej, rozważanej wogóle, rzeźby te z Italii podrzędniejsze będą miały jeno miejsce, a wrażenie wywarte nie może iść w porównanie z serdecznym oddźwiękiem, budzonym w nas przez inne, z głębszych pokładów ducha wypływające natchnienia, nie wyłączając nawet dawniejszych, mniej doskonałych pieśni. Za nie pokochaliśmy wszyscy Konopnicką... Zamknijmy się jednak w obrębie jednego tomu.

W *inwokacyi* swej poetka wzywa przechodnia, by uniżonem czołem na cztery strony świata bił cztery pokłony, gdyż zeszedł na brzeg, „od *marmurów* swych biały,“ gdyż „morze, słońca, ogromne duchy i ruiny mają tu nieśmiertelne i królewskie trony.“ W wezwaniu odbiło się to, co nadewszystko porywało oczy pieśniarki, czarowało wyobraźnię i co serce jej wprawiało w ruch przyspieszony: przyroda, arcydzieła sztuki plastycznej i „ogromne duchy i ruiny.“ Bezpośrednie jednak wrażenia „morza i słońca“ mniejszą od innych grają rolę, chociaż mieniące się barwy wywołują nieraz śliczne efekty malarskie. W najwymowniejszych ustępach znać nietyle oddanie się czarowi chwili, nietyle rozjaśnienie twarzy i uciszenie się serca, ile dążność do wyrwania się jakimś widokom, zapomnienia o jakichś głosach. „Języków ludzkich słuchałam do syta, do tchu utraty, do zawrotu głowy. Oto łódź moja od brzegu odbiła... O morze, twojej pożądam dziś mowy.“ Zresztą poetka sama to wyznaje, że „nie przeto w uwielbieniu przed tobą się korzę, iż taki błękit w tobie i takie szafiry... lecz przeto, iż w twą siną dalekość lecąca, o brzeg żaden, o tamę myśl skrzydeł nie trąca...“ Gdzieindziej widok przesłaniają „wielkie duchy“ przeszłości, czy to będzie przeszłość tak świeża, jak odbicie drużyny Garibaldiego, czy też głos z przed dwu tysięcy lat... Ta poezya „Italii“ jest nadewszystko historyczną, może aż nazbyt. Niekiedy czujemy żal prawie do autorki za to równouprawnienie w zachwytach, nadane zarówno retorowi rzymskiemu, jak wodzowi „tysiąca.“ Lecz przy bliższem wejrzeniu i tu spostrzeżemy objaw, analogiczny rozważonemu przed chwilą. Po za krajobrazami Konopnickiej i wywołanym przez nie nastrojem wyczuwamy usposobienie odmienne, a zwykłe może autorce. Podobnież we wspomnieniach zdarzeń lub postaci dziejowych można dojrzeć krzyżowanie się dwu różnych szeregów zjawisk, dwa kierunki uczucia i myśli. Jedno — to chwila odświętna, drugie — to codzienna troska, której zapomnieć chcemy, lecz nie możemy. Oto Capri... Na kamieniach jej wyobraźnia widzi wyryte ślady rozpusty i okrucieństwa dzikiego samotnika... Na brzegu zaś rybak rozpalił ognisko i prawi coś nie o Tyberyuszu i Auguście, bo byliby mu obojętni, gdyby nawet wiedział o nich, „lecz patrząc mrocznem okiem w gasnące zarzewie, głód i nędzę skarży...“ Natrętna rzeczywistość i tu mąci czystość wrażenia. Czy jednak tylko natrętna? Wprawdzie sprawy dnia bieżącego, choć się biernie wobec nich zachowujemy, mimo to krzykliwie się nam narzucają, ale nużą tylko obecnością swoją; gdyśmy się odwrócili, już przestają dla nas istnieć. Gdzie atoli potrzebny jest wysiłek, by zapomnieć, tam odruch zmęczenia wywołany był może wiecznie czujną i miłosną uwagą, skierowywaną wciąż na rzeczy bliskie i drogie, lecz nie czyniące zadość naszym pragnieniom i wymaganiom... Języków ludzkich słuchała do syta, do tchu utraty, do zawrotu głowy... bo namiętnie pragnęła pochwycić dźwięk jakiś, tylko w snach przeczuciowych dotychczas brzmiący... Czyż nie tę samą powściąganą namiętność słyszymy w słowach poetki, gdy, olśniona wielkością i chwałą ubiegłych stuleci, pospiesza zawsze dodać z goryczą: a my — jacyśmy nędzni i mali. Oglądając łancę Rolanda, woła: „Na jak ogromnej ogromnej ręki broń ta miarę! Kto ją z was dźwignie, o wieku dzieci?“ Konopnickiej wolno tak mówić. Ileż to razy ze smutkiem i wstydem powtarzaliśmy jej słowa: „Ludy się kędyś prą falą mętną, szumem ich wzbiera dziejowe tętno... A nam tymczasem młynek na strudze obraca plewy swoje i cudze...“ Prawda jest... A przecież, gdy tak często słyszymy pogardliwe a ogólnikowe współczesności naszej rzucone zarzuty zmarnienia i zdrobnienia, chciałoby się wziąć tę współczesność w obronę. Niewątpliwie efektownym jest Roland w wąwozie Ronsewalskim, gdy go oglądamy przez mgłę wieków... Ale czyż brak efektowności może być poczytywany za winę? I jeszcze.., wszak te wzory poświęcenia i wytrwania, tak oddziaływające na wyobraźnię naszą, czyż to naprawdę rzeczywistość, zapadła w otchłanie czasu? Czyż to raczej nie idealne sny, wytknięte przez ludzkość w jej dążeniu ku wyżynom? I czyśmy już tak ubodzy, że nie moglibyśmy się powołać na żadne szlachetniejsze wzloty ideowe? Zajrzyjmy choćby... do poezyi Konopnickiej.

Najobszerniejszy dział „Italii“—to wrażenie wywołane dziełami sztuki plastycznej. Z pewnem uprzedzeniem przysłuchujemy się zwykle pieśni, zawdzięczającej swe pochodzenie temu źródłu. Poezya nie jest zjawiskiem wtórnem, ani falą odbitą, lecz sztuką niezależną obok innych; ubieranie obcych natchnień w szatę rytmu i rymu jest tem wobec samoistego natchnienia, czem ilustracya wobec obrazu. Ale, zapewne, duch tchnie, kędy chce, i pobudka może wyjść skądkolwiek. U Konopnickiej pięknym jest „Faun pijany,“ a zwłaszcza prześliczne są tercety w „Sybilla pisze,“ może dlatego, że w tym wypadku z zewnątrz przyszło tylko potrącenie, całą zaś treść autorka z własnej wysnuła przędzy. Wiele plastyki i siły posiadają obrazy Sądu Ostatecznego. Nie tony potęgi, zresztą, są w tem dziele najbardziej uderzającym objawem. Wśród innych utworów znajdujemy w zbiorze cykl „Ech florenckich“ — echa poznania się z Lenartowiczem i hołd złożony jego pamięci. Niektóre strony poetyckiej działalności Konopnickiej mają wiele pokrewnego z twórczością autora „Lirenki,“ i okoliczność ta była właśnie spoidłem między poetką a lirnikiem mazowieckim. „Jeszcze dotąd nie przebrzmiała mowa słodka, niby granie: Bogu niechaj będzie chwała, żeś się ze mną w pracę dała *na jednym łanie*... Żeś nie z dębu, ni z wawrzynu, ale z *wierzby* wyłamała *tę fujarkę, co ci grała piosenkę gminu*.“ Otóż te tony sielskie i fujarkowe, zaklęte w melodyę smutnych szumów naszych pól z pod naszego mglistego nieba — tony te nie ucichły w pieśni Konopnickiej nawet w ziemi klasycznego piękna, pod włoskimi szafirami, na brzegu „od marmuru białym...“ W „Italii“ mniej jest „Italii,“ niżby się to napozór zdawać mogło. Czasem

zdaje się, iż naprawdę słyszymy oddźwięk „Lirenki.“ „Nikt nie widział, nikt nie słyszał, sam on tylko patrzał na Nią.“ W madonnach, przed któremi się pątniczka zatrzymuje w modlitewnem skupieniu, najdroższym i najbliższym rysem jest ich sielankowość i prostota. „Iść by mogła —mówi o madonnie Giotta — między pola nasze, a nie zlękłoby się nawet ptaszę; iśćby mogła między nasze płoty, a nie zlękłyby się i sieroty... Nie prorockie księgi z nią mówiły, lecz zapadłe, przydrożne mogiły, ale łąki drżące we łzach rosy, ale w stepie rozełkane głosy.“ I oto nie mylimy się, znowu poetka z dalekiej podróży, z pod jasnego nieba powraca na swą rodzinną, smętniejszą ziemię. Wszak to tej ziemi modły słyszała w dźwiękach „Miserere.“ Nie wątpiliśmy nigdy, iż Konopnicka z najdalszej wędrówki do nas powróci i wśród nas zostanie.

A. Drogoszewski.

ERNEST HELLO.

Profil literacki.

Była chwila w rozwoju literatury współczesnej, kiedy to naturalizm, doszedłszy we Francyi do niemożliwych granic rozpasania, zapragnął — jak powiada Przewóski w swej „Krytyce literackiej“ —wygnać z literatury wszelkie kapryśne i nieujęte siły, noszące nazwy: natchnienia, talentu, geniuszu. Wtedy twórczość artystyczna skupiwszy się w jednym rodzaju, powieści, przetworzyła ją w spisywanie dokumentów, wtedy twórca zstąpił do godności protokolanta, a krytyk objął czynność kontrolera zgodności kopii z rzeczywistością.

Z drugiej strony jaskrawy symbolizm dochodził do wynaturzenia, pławił się w pustych dźwiękach, gardził logiką, uwielbiał opacznie pojętą oryginalność, której upatrywał w „wewnętrznym rytmie,“ pozostającym częstokroć tajemnicą samego autora, odsadzał tłum od sztuki, a przeznaczał ją jedynie dla „wybranych, bratnich dusz.“

Te dwie biegunowo przeciwne szkoły literackie, właśnie znalazły się u szczytów rozwoju. Wybrały się więc na wędrówkę po świecie. I do nas niebawem zawitały...

W takich stosunkach na polu literatury francuskiej w ósmym dziesiątku lat ubiegłego wieku, rysuje się tem wyraziściej sylweta człowieka, pracującego zdala od walczących o byt i uznanie szkół literackich. Nazywa się on *Ernest Hello.**)

Najcharakterystyczniejszem znamieniem tego myśliciela jest to, iż zdołał się uchronić zupełnie od naleciałości zarówno naturalizmu, jak i symbolizmu, iż swej indywidualności nie przystosował do dogmatów szkoły. I w tem właśnie wyższość i tężyzna jego ducha się objawia, iż się oparł prądom, nurtującym wówczas z wielką siłą. Jest on wyjątkową postacią, stojącą na uboczu, zdala od wszelkiej kastowości, szkolarstwa, zacietrzewienia partyjnego, lecz tylko wpatrzoną w swe ideały, w cele, dla których pracował. I tem się też tłomaczy, dlaczego zdołał objąć tak szeroki widnokrąg i dlaczego tak bardzo się oddalił od małostkowości spraw codziennych.

Nie wstępując w wir swarów partyjnych, pozostał też za życia nieznanym (a umarł 15 lat temu); nie wypływał na powierzchnią literatury „aktualnej,“ bo wcale nie krzyczał, nie miotał się, tylko w zaciszu domowem zbierał doświadczenia, skupiał się i intensywnie pracował. Dopiero po jego śmierci Francuzi poznali, czem był ten cichy pracownik, jaka jest siła jego twórczości, i ze zdwojonym zapałem zaczęli głosić jego chwałę.

Puścizna Ernesta Hello rozpada się na dwa działy; pierwszy dotyczy *życia* i jego przejawów, drugi zawiera pogląd autora na *sztukę* i jej cele.

Królową istnienia jest wedle Hello *miłość*.

„Czemże jest miłość, jeżeli nie życiem, jeżeli nie jednością?

Ten, który żyje, jest ten, który kocha; jest on złączony i łączy.

Ten, który nie żyje, jest ten, który nie kocha; jest on rozłączony i rozłącza.

Życie, Miłość, Jedność łączą się z sobą, a właściwie tworzą jedno.

Na tem tle o ogniskowaniu się wszechrzeczy w jednem, przepotężnem uczuciu miłości, Hello buduje swe zapatrywania na najrozmaitsze przejawy życia, nawet ze stanowiska teoretycznego zstępuje w życie praktyczne, by i tam być rzecznikiem swej teoryi o miłości jako o czynniku, jednoczącym wszelkie rozdwojenie.

Powiada:

„Rozpocznijcie od sporów, wszystko zostanie jałowe. Rozpoczynajcie od miłości, wszystko stanie się płodne.“

A dalej:

„Oto zbliża się nędzarz i prosi o jałmużnę.“

— A gdyby to był Anioł Boży?

— A gdyby to był morderca?

Co czynić, by odgadnąć? Czy potrzeba wysiłku myśli, nadzwyczajnego aktu inteligencyi?

Wcale nie. Oto jest tajemnica:

Odgadnąć, to *kochać*... kochać wszystkich.“

Miłość jest więc owym czynnikiem, działającym jednocząco, na którego podstawie można dopiero myśleć o dalszym rozwoju ludzkości.

To apostolstwo miłości, cechujące Ernesta Hello, stawia go w jaskrawem przeciwieństwie do tych rzeczników zimnego, samolubnego indywidualizmu, od Maksa Stiracza do Nietschego, którzy w swych dewizach „Sei hardt!“ lub „Stosse die Velt ab!“ stawiają jako ideał przyszłości władztwo Jedynego tej „Blondbestie mit den rothen Backen.“ A kiedy egoizm jednostki chce indywidualizm rozkrzewić do tego rozmiaru, żeby ona, zdeptawszy wszelkie uczucia szlachetniejsze i wznioślejsze, oplwawszy wszystko, co ludzkość dla dobra mas szerokich przez tyle wieków zdziałała, jedynie swym instyktom folgę dawać mogła — to altruista Hello, na przeciwnym stojąc biegunie, głosi odrodzenie ludzkości za pomocą—miłości.

W krąg tej miłości wprowadzić chciałby uczucia czyste, myśli zdrowe, serca szczere, a wypędzić naleciałości, przeszkadzające jedynie tej ewolucyi człowieka ku dobru i światłości. I tu głos jego nabiera siły, rozbrzmiewa oburzeniem, przejmuje się namaszczeniem i powagą. A wypędzić radby wiele złego, nurtującego w społeczności. Chciałby ją oczyścić z tych przywar, jakie w ciągu wieków wchłonęła, i wskutek których znacznie się oddaliła od pierwowzoru Chrystusowego.

Nauczyć chciałby, naprzykład, te zastępy ludzi miernych, które gnębią wszelki polot ducha, rzeczywiście wielkiego. I tak charakteryzuje miernotę:

„Człowiekowi miernemu, powodzi się, gdyż płynie z prądem, człowiek wyższy odnosi tryumfy, gdyż płynie przeciw prądowi...

Człowiek mierny nie odczuwa ani wielkości, ani nędzy, ani bytu, ani nicości. Nie jest ani noszony, ani strącony, zatrzymuje się na przedostatnim stopniu drabiny, niezdolny wstąpić wyżej, zbyt leniwy aby zstępować niżej...

Człowiek mierny, niższy jest od tego, czego dokonywa. Dzieło jego nie jest urzeczywistnieniem jego myśli: jest to praca dokonana wedle pewnych reguł...

Człowiek mierny jest pełen swego dzieła, pełen siebie samego, pełen próżni, pełen próżności — ta wstrętna osobistość zawiera się całkowicie w dwóch wyrazach: oziębłość i próżność...“

Albo z jaką subtelnością i oburzeniem piętnuje rozpieranie się bałwochwalstwa, dziki taniec około złotego cielca, jaki we współczesności z coraz większą wre mocą. I tu jest Hello najczulszy. Podchwytując najdrobniejszy odcień samolubstwa, rozszczepia je na dwa zasadnicze przejawy: skąpstwo i chciwość. Wykazuje, jak się chciwość głośno uzewnętrznia, a jak się przeciwnie skąpstwo chowa, jak w duszy potwora ukrywa; „potwór ten czasem śpi, a czasem się odżywia; gdy śpi, skąpiec zamyka się w sobie, gdy pożera, skąpiec pełen jest niepokoju...“ Wykazuje, jak to zarówno chciwy i skąpy padają ofiarą swych namiętności. I aby należycie zbadać przejawy tych namiętności, zstępuje w coraz niższe sfery, obejmuje coraz szersze warstwy, bo „złoty cielec, to bożyszcze z natury swej smutne, mroczne, ponure, ale trzeba wniknąć w najskrytsze tajniki, w najciemniejsze smutki życia, aby ujrzeć posępne jego oblicze.“

* *

Chcąc się przypatrzeć fizyognomii artystycznej Ernesta Hello i poznać jego *pogląd na sztukę*, należy go przybliżyć do tła, na którem się rysuje jego sylweta, by, przeciwstawiając go temu tłu, poznać, jakim jest właściwie. Parafrazując jego własne powiedzenie, że „artysta dostarcza powietrza dla duszy,“ rzec można, iż on sam jest powietrzem, świeżem tchnieniem, wpuszczonem w duszną komorę, gdzie twórczość artystyczna wędziła się w dymie naturalizmu.

Bo jeżeli naturalizm objął swym widnokręgiem sprawy codzienne, to Ernest Hello chciał poszybować hen ku rozłogom... „Oto nagle ukazuje się widnokrąg rozległy, głęboki, daleki, rozjaśniony błyskawicami, płonący ogniem. Oto, unoszona przez słowo i światło, na skrzyżowanych skrzydłach tych dwóch orłów, Sztuka tędy przeleciała i obaliła ściany naszego więzienia! Ściany roztworzyły się, rozerwane przez nieugiętą potęgę, jako chmura rozerwana piorunem!“ Kiedy to czytamy, zdaje się nam, iż o najszlachetniejszą część naszego jestestwa odbił się głos podniosły a czysty, budzący z uśpienia wszystko, co w nas drzemie...

Jeżeli dawniej sztuka była zabawką, grą, której umysł się oddawał, gdy sam przed sobą chciał występować z paradą, to ewangelią nowej sztuki jest dla Ernesta Hello coś zupełnie przeciwnego:

„Trzeba, by powstał człowiek genialny któryby począł mówić, był słuchany i powiedział:

Chcę, by sztuka była szczerą.

Chcę, by sztuka przestała być przebraniem człowieka, a stała się jego wyrazem.

Chcę, by sztuka była wybuchem, naiwnym i wzniosłym wewnętrznych blasków duszy. Aby sztuka była piękną i aby jej piękność była prawdziwą, chcę, aby odtąd przedstawiała rzeczy tak, jak one są.“

Jeżeli przeciętny, mierny człowiek gardzi sztuką, to dla tego, że uważa ją za balast niepotrzebnie obciążający łódkę życia, lub za bańkę mydlaną, pozbawioną namacalnej, realnej wartości; artysta prawdziwy gardzi także pewnymi objawami sztuki, ale dlatego, że są kłamliwymi.

„Skoro człowiek przeciętny, mówiąc o kłamstwie, wyrzekł słowa: to jest poezya — sądzi, że tem samem rozgrzeszył kłamcę. Rzecz ma się wprost przeciwnie: wyrzekł on nowe oskarżenie, gdyż jeśli kłamca kłamie poetycznie, każe on kłamać słowu w jego najwyższej postaci.“

*) *Ernest Hello*: „Z życia i ze sztuki Studya i szkice.“ W przekładzie i z przedmową O. Gostomskiego.

Słowa te są najsilniejszym wyrazem pogardy, niemal spoliczkowaniem tej plejady kłamców poetycznych, tych złotników słowa, którzy bez krzty wewnętrznego przeświadczenia o prawdzie głoszonych przez się słów, kłamią stany duchowe, kłamią bóle, kłamią radości, wciąż kłamią...

Za pomocą antytez mógłbym tak w nieskończoność wywodzić złote myśli Ernesta Hello. Wolę jednak o nim samym i jego stanowisku parę słów dodać.

Ernest Hello jest w prostej linii synem Bossueta i Deskartesa, dziwnym trafem wyrosłym u schyłku XIX wieku. Podobnie jak oni, ma o człowieku pojęcie idealne, ogólne, oderwane. Tak jak u Bossueta, dusza ludzka kieruje się zawsze ku Bogu, a u Deskartesa jest „czystą tablicą,“ w której się odzwierciedla świat i jego pojęcia—tak dusza Ernesta Hello jest na tym jeszcze poziomie, który nie wie i wiedzieć nie chce o „zdobyczach“ współczesności. O ile ta okoliczność jest poniekąd wadą Ernesta Hello, bo nadaje jego wywodom często znamię konserwatyzmu, o tyle z drugiej strony jest wielce dodatnim czynnikiem: daje mu „patos“ i charakter patryarchalny, podnosi go, stawia na kazalnicy. To też z zupełnie innem uczuciem czyta się teoretyczne wywody o sztuce Maeterlincka np., a z zupełnie innem Ernesta Hello. Tam podziw wobec bystrości, tu podniesienie ducha. Bo oto rozlega się głos jakby kapłana, a szlakiem jego myśli dusza wznosi się wyżej... wyżej... I to właśnie jest charakterystycznem znamieniem, odróżniającem go od większości współczesnych. Prąd, dążący do analizy przedmiotu, zrodził w sztuce weryzm. Sztuka zatraciła swój idealny charakter, wewnętrzne pobudki ustąpiły na korzyść spostrzeżenia zewnętrznego. Reakcya przeciwko temu prądowi jest Hello, bo jego określenie sztuki obraca się w sferze ograniczonej metafizyka. Wedle niego „czas użycza sztuce słowa, a przestrzeń światła,“ a „sztuka w pewnej mierze i w pewnych chwilach jest siłą rozrywającą sklepienie podziemia, w którem się dusimy,“ I stąd w dalszej konsekwencyi jego religijność. Sztuka obracająca się wciąż na wyżynach myśli ludzkiej, sztuka podniebna, jest w bezpośrednim sąsiedztwie Boga, musi go w swym biegu napotkać i, jako najsilniejszy wyraz potęgi twórczej, uwielbiać. Stąd daje się psychologicznie wywieść ów katolicyzm, tak często wmieszany w utwory najbardziej postępowych autorów.

W takie to ramy charakterystycznych znamion daje się zawrzeć sylweta Ernesta Hello. O jednem tylko przepomniałem. Oto, że w tych ramach postać jego promienieje światłem ducha czystego. A czystość ta i podniosłość tak rzadkie są obecnie...

Bertold Merwin.

NA TEMAT KATECHIZMU.

Emil Holarek, młody artysta czeski, ilustruje katechizm. Jest to natura mistyczna, gorąca, przejęta do głębi naukami pierwotnego chrystyanizmu o braterstwie i dobroci. Z tego punktu widzenia sądzi on—teraźniejszość. Niestety, sąd jest taki, że gdyby dziś żył stary Castro, to do swego dzieła o 1500 *haereses* musiałby napisać dodatek o tysiąc pięćset pierwszej. A właśnie jedna z ilustracyj Holarka uzmysławia łagodność, jedną z cnót ewangelicznych, za pomocą energicznej postaci biskupa, wkładającego papierową koronę heretycką z wymalowanymi dyabłami na głowę heretykowi, klęczącemu już na stosie. Nie darmo Holarek jest z kraju Jana Husa.

Robi on rysunki piórem, które przez znawców pod względem technicznym cenione są bardzo wysoko i wydawane seryami, zbytkownie, przez księgarnię artystyczną B. Koči w Pradze. Pierwsza serya dziesięciu rysunków p. t. „Sen“ przedstawia dramatycznie przeszłość i teraźniejszość religii Chrystusowej. Druga, zawierająca 24 rysunki, p. t. „Noc,“ przedstawia kontrasty życia nocnego różnych warstw ludności. Trzecia, najbogatsza, złożona aż z 50 rysunków piórem, zatytułowana jest: „Refleksye na temat katechizmu,“ i zawiera następujące rozdziały: grzechy główne, cnoty ewangieliczne, dobre uczynki, grzechy cudze i grzechy przeciw Duchowi Świętemu. Pod względem myśli przewodniej jest ona niejako syntezą obydwóch seryj poprzednich. Myśl ta wyraża się dobitnie zaraz w karcie tytułowej: widzimy na niej postać w płaszczu z łagodną, zamyśloną twarzą Chrystusa; lecz twarz ta jest, w gruncie rzeczy, maską, z pod której, wśród fałd płaszcza, wyziera inna twarz—surowa i bezwzględna...

Zobaczmyż—bez zbytecznych komentarzy—jak artysta uzmysławia grzechy, cnoty, uczynki chrześciańskie i przykazania boże.

Na ławce, przed pałacem siedzi rozparty lokaj; żniwiarz i żniwiarka, wracając spracowani z pola, nisko mu się kłaniają — to pycha. Chciwość, którą katechizm określa, jako niewstrzemięźliwe pożądanie dóbr ziemskich—to dwaj górnicy, po pas nadzy, odwalający oskardami węgiel w głębi ziemi. Nieczystość: znów żniwiarz, wracający z pola do domu, lecz wesoły, w towarzystwie żony młodej i rozbawionego dzieciaka; z muru ogrodu klasztornego patrzy na nich młoda, więdnąca już w panieństwie zakonnica, patrzy z poczuciem wyższości, czy też smutną zadumą? Bogaci państwo wybierają zabawki i choinkę dla swych szczęśliwych dzieci: patrzcie, jak im nie po chrześciańsku zazdrości ta obdarta nędzarka, do której spódnicy tuli się z niemą prośbą wychudzona dziewczynka. Stary kowal siedzi przy wygasłem ognisku, nogą depcząc zbyteczny już młot: fabryka pobliska, nowo zbudowana odebrała mu robotę. Marszczy czoło, zaciska pięści: „niewstrzemięźliwe rozgoryczenie na osoby i rzeczy, które nam się nie podobają,“ jeden z siedmiu grzechów głównych — gniew. — Tu rozdział z niedawnych dziejów społecznych Czech.

Jako *pendant* do grzechów — są cnoty chrześciańskie. Przytoczmy dwa przykłady, bo się nawzajem dopełniają. W złocistej karocy jedzie książę kościoła, ludzie przed nim klękają na ulicach. „Pokora jest to cnota, dzięki której chrześcianin nigdy nie zapomina o swych słabościach i wadach i dlatego wszystko, cokolwiekby czynił dobrego, Bogu tylko przypisuje.“ Druga scena: Las, zima. Biedna kobiecina z dzieckiem uzbierały—odmiennym może zwyczajem — trochę chrustu. Wpadł na to leśniczy ze strzelbą i psem: jak wymyśla, jak wygraża, to z całego ruchu poznać: „szczodrobliwość bowiem—jest to cnota, dzięki której chrześcianin gotów jest z dobra swego i bliźnim swym udzielać.“ W tych dwóch obrazkach mamy niewątpliwe echo niedawnego zdarzenia prawdziwego, zaciętego procesu, prowadzonego przez najbogatszego z biskupów austryackich, którego archidyecezya obejmuje po części ziemię czeską...

A oto dobre uczynki chrześciańskie. Zaraz pierwszy wywiera straszne wrażenie. „Głodnego nakarmić“ — uczy katechizm: w myśl tej nauki zakonnicę, która złamała ślub swój, zamurowano wraz z dziecięciem niewinnem w baszcie klasztornej. Rwie paznogciami ciemny, zimny mur... „Pragnącego nakarmić“ — to się uskutecznia w szynku. Rycerz-rozbójnik powalił na ziemię kupca i odbiera mu sakwy: czyż nie kazano „podróżnego w dom przyjąć“? Więźniów trzeba wyzwolić: do tego służą tortury. Umarłych chować: właśnie zostawiono skazańca wplecionego w koło, na pustem wybrzeżu morskiem, a dumny sędzia, rzewny spowiednik i tępy kat odchodzą z poczuciem spełnionego obowiązku. Trzeba zaznaczyć, że Holárek nietylko z teraźniejszości czerpie swe przykłady, lecz również z wieków średnich, z całych długich dziejów, na które rozciąga się forma chrześciaństwa... Lecz jeśli pocieszanie strapionych za pomocą stawiania ich pod pręgierzem, jak tej oto „jawnogrzesznicy“ w koszuli tylko i słomianym wieńcu, na którą sypią się szyderstwa idącego do kościoła, cnotliwego tłumu,— jeśli pod względem formy, środka, ten uczynek chrześciański należy do wieków średnich, czyż nie jest również właściwy jeszcze i naszym czasom? A nauczanie niewiedzących za pomocą wystawianych na widok publiczny, necących nawet dziecinny wzrok, ilustracyj pornograficznych i kryminalnych? A odwiedzanie chorych? — wśród szopy, pełnej rannych, stoi wódz ciężko strapiony i współczujący — po bitwie...

Militaryzmowi zresztą poświęcona jest cała serya „grzechów cudzych.“ Werbownicy — namawiają do grzechu: wspólnikiem grzechu jest młody żołnierz, należący do konwoju, który przeprowadza skazanego towarzysza przez rózgi itd.

Historya Czech — jak również każdego kraju, gdzie były bunty chłopskie — odzwierciedla się w seryi „grzechów przeciwko Duchowi świętemu.“ Pod srogiem okiem ekonoma ciągną chłopi pańszczyźniani pług — „zbytnio ufano w miłosierdzie boskie.“ Zmawiają się chłopi: „sprzeciwiają się uznanej prawdzie chrześciańskiej.“ Bunt. Represya. Szubienica: stojący pod nią młodzieniec nie patrzy nawet na kogoś, co mu do ucha szepcze nauki“: zatwardziały jest na zbawienne rady. Ostatni obraz: cmentarz ludzi porządnych, a za jego murami dół, w którym pochowano grzeszników, świeżą przysypany ziemią, umieszczony przed samemi wrotami cmentarza, tak, aby jeszcze po nim deptały nogi zwycięzców. Kogo dotyczy podpis tej ilustracyi, kto popełnia grzech, będący jej tematem — „uporczywie trwać w niepoprawności“ — nie wiadomo...

Alegorye, któremi otwiera się i zamyka każda serya, zasługują też na uwagę. Surowego oblicza niewiasta — społeczność ludzka — sama prowadzi człowieka za rękę ku pięknej, nagiej kobiecie, uzmysławiającej wszystkie uciechy, wszystkie pokusy żywota. Gdy zaś z pod ołtarza, na którym gorejące serce przysypał stosem złota demon bogactwa, wypełznął wąż, obwinął oboje, człowieka i piękna jego towarzyszkę, powalił na ziemię i dusi, to surowa Społeczność obojętnie od upadłych się odwraca... Alegorye militaryzmu: tygrys, zażerający jelenia, rydwan z trumną ludzkości, ciągniony przez niewolników i innych niewolników miażdżący, są wstrząsające. Tu znów dwie nagie karyatydy ludzkie, mężczyzna — praca przemysłowa, kobieta — praca rolna, podpierają balkon, na którym wypudrowany markiz grucha z arystokratyczną pasterką. Na końcowej karcie anioł promienisty usiłuje pociągnąć z sobą ku słońcu człowieka, przykutego za nogi do kamiennego, niewzruszonego sfinksa... Na łatwo dający się przewidzieć zarzut tendencyjności Emil Holarek odpowiada z góry prologiem w formie ślicznego tryptyku: pieśniarz na skrzydlatym koniu przybywa przed świątynię muz i wabiącym go Gracyom chce swą lutnię ofiarować. Lecz wzrok jego pada na płaczącą Ludzkość: jej odtąd będzie służyć jego pieśń!

Rad.

NA MARGINESIE.

— Grecya była niedawno widownią sporu natury dość zagadkowej dla reszty świata inteligentnego. Młodzież uniwersytecka, mianowicie, domagała się rzucenia klątwy kościelnej na tłomaczów Ewangelii po wydrukowaniu w dzienniku *Akropolis* przekładu ewangelii św. Mateusza w języku nowo-greckim; a ponieważ żądaniom ich nie można było zadość uczynić, więc przyszło do zaburzeń poważnych, do rozlewu krwi, dymisyi ministeryum. Przyczyną wszystkiego była nadmierna troskliwość o czystość językową pedantów, którzy w literaturze przyznają prawo obywatelstwa tylko staro-greckiemu, a nowo-grecki używany w mowie potocznej, uważają za pozostałość hańbiącą wieków niewoli. Tymczasem język, w którym napisana była ewangelia, nie jest bynajmniej językiem klasycznym, książkowym, lecz gwarą potoczną tłumów z czasów Ewangelisty, a więc znajduje się w tym samym stosunku do czystej, szlachetnej mowy Peryklesa i Platona co dzisiejszy nowo-grecki do staro-greckiego. Lecz zaślepienie nie rozumuje. Pierwsza iskra padła rzucona przez prasę. Dzienniki purystyczne, a tych jest większość w Atenach, powstały przeciw paru liberalniejszym, które zaczęły drukować przekład nowo-grecki i pociągnęły za sobą wszystkich profesorów na wydziale teologicznym. Za profesorami poszła młodzież; pożar rozlał się szeroko, aż przeszedł w zaburzenie publiczne. W rezultacie tłomaczenie obłożono klątwą; ale tem samem uczyniono Ewangelię niedostępną dla mas, które języka literackiego, używanego przez purystów, nie rozumieją zupełnie. (*Revue*).

— Rudyard Kipling w *Review of Reviews*, opowiada ciekawe rzeczy o zmarłym emirze afgańskim Abdurrahmanie i o zwyczajach panujących na jego dworze w Kabulu. Bardzo malowniczo opisuje ogrody Baber i w nich sądy publiczne, które emir, wedle zwyczaju sprawował codzień osobiście. Zręczne opowiadanie kończy się przykrym zgrzytem, gdyż autor zdaje się pochwalać i cieszyć z tego, że dziki azyata skazał na śmierć (dar arid!) biedaka, który ukradł rupię. Surowość wyroku usprawiedliwiała ta niby okoliczność, że sam emir, niegdyś w biedzie w dniach swojej tułaczki, znosił niedostatek mężnie i rupii nie kradł. Nie wszystko jednak, co przystoi afgańskiemu emirowi, przystoi również i angielskiemu powieściopisarzowi, choćby ten także nigdy rupii nie ukradł!

PRASA ROSYJSKA.

Finlandzkaja Gazeta pomieściła następujące wyjaśnienie:

„Od czasu wydania Najwyższego Manifestu z d. 29 czerwca 1901 r. i nowej ustawy o służbie wojskowej w Wielkiem Księstwie Finladzkiem, a tem więcej od dnia ogłoszenia tych praw, w formie przepisanej, w *Zbiorze postanowień Wielkiego Księstwa Finlandzkiego*, ześrodkowana w Helsigfuorsie agitacya, skierowana wogóle przeciw przedsiewziętym środkom w celu ściślejszego połączenia kresów finlandzkich z Cesarstwem, rozpoczęła szczególnie uporczywą swoją działalność. Przygotowania do tej działalności rozpoczęły się o wiele wcześniej, już od czasu zorganizowania w Petersburgu specyalnej komisyi do wypracowania nowej ustawy o służbie wojskowej. Kierownicy tej agitacyi, a w liczbie ich „wielu członków byłego sejmu ziemskiego“—o czem zawiadomiono w jednej z wydanych następnie proklamacyj—zebrali się na wyspie Tarholm, położonej w bliskiem sąsiedztwie z Helsingforsem, owem centrum agitacyi. Rezultatem zebrania tego był, jak wiadomo, szereg w wysokim stopniu nielegalnych odezw, broszur i proklamacyj, adresowanych do pastorów luterańskich i ich parafian i przekonywających, że nowe prawa o służbie wojskowej nie powinny być ogłaszane z ambon kościelnych, czego wymagają istniejące przepisy, gdyż wówczas nie posiądą w kraju mocy prawnej. Ponieważ jednak agitacya ta, wywoławszy z początku wśród duchowieństwa luterańskiego pewne wahanie, w ogólności nie osiągnęła zamierzonego celu, a przepisy o służbie wojskowej były ostatecznie ogłoszone z ambon kościelnych we wszystkich prawie parafiach luterańskich kraju, z wyjątkiem niektórych w dyecezyi borgoskiej, przeto kierownicy agitacyi, przewidziawszy wcześniej możliwość takiego niepomyślnego obrotu sprawy, obrali sobie inny jeszcze sposób działania. Stworzono na wypadek ten projekt adresu, powtarzającego zasadnicze argumenty wspomnianych wyżej proklamacyj, noszącego w redakcyi swej charakter jak najbardziej zuchwałego protestu i starającego się silnie dowieść niezgodności nowych przepisów o służbie wojskowej z ogólnemi urządzeniami kresów finlandzkich. Wśród podpisów, jakie udało się zebrać autorom adresu, zredagowanego i skierowanego wbrew ścisłej zasadzie Najwyższego postanowienia z d. 30 czerwca 1826 roku, bez uprzedniego zawiadomienia o tem miejscowych gubernatorów i bez pozwolenia naczelnika kraju, znajdują się razem z innemi podpisy miejscowych urzędników, zajmujących nawet stanowiska, których przedstawiciele obdarzeni są zaufaniem Monarszem. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan w nieograniczonem ojcowskiem swem pobłażaniu względem wciągniętych do agitacyi, pozostawił adres protestujący tylko bez skutku. Jednocześnie z powyższem Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan rozkazać raczył, ażeby przy obsadzaniu posad, obdarzonych zaufaniem Monarszem, w braku odpowiednich kandydatów wśród Finlandczyków mianować na posady te osoby urodzone w Cesarstwie.“

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Praw. Wiest. (Nr. 285) ogłasza przepisy tymczasowo zatwierdzone w d. 4-ym stycznia r. b. przez ministra oświaty, a dotyczące organizacyj studenckich w wyższych zakładach szkolnych tego ministeryum.

Zwierzchność wyższych zakładów szkolnych ma prawo zezwalać studentom na organizowanie kółek studenckich naukowo - literackich, artystycznych, rzemieślniczych, sportowych, kuchni, herbaciarni, kas (pomocy, pożyczkowych), biur pośrednictwa w poszukiwaniu pracy, bibliotek i czytelń.

Dla organizacyi tych instytucyj studenci mogą urządzać zebrania kursowe, a jeżeli wydział jest nieliczny (do 300 st.) — to wydziałowe. Zebrania te odbywają się w wyznaczonym na ten cel lokalu, w obecności delegata władzy szkolnej. Zebraniami kieruje student, wybrany za pomocą tajnego balotowania pod kierunkiem starostów.

Delegat władzy nie bierze udziału w głosowaniu i naradach, a w razie gdy dyskusya przekroczy granice dozwolone, daje ostrzeżenie, wreszcie zamyka zebranie. Zebranie jest prawomocne, kiedy bierze udział $^2/_3$ kursu. Głosowanie odbywa się prostą większością głosów.

Na zebraniu wybierani są starostowie kursowi i wszelkie delegacye do komisyi w komplecie potrójnym, z którego zwierzchność czyni wybór.

Starostowie, wybierani na początku roku, pośredniczą między studentami i ich zebraniami a władzą szkolną.

Starostowie mogą z zezwolenia władzy urządzać własne posiedzenia; uchwały starostów zatwierdzane będą przez władzę. Starostowie podlegają za wykroczenie dyscyplinarnej władzy szkolnej i przez nią mogą być usunięci ze stanowiska.

Wszystkie instytucye wyżej wymienione, pozostają pod zwierzchniem kierownictwem wybranego przez zarząd zakładu profesora. Na zawiązanie kapitału zakładowego, zakład może wyasygnować pewien fundusz ze specyalnych funduszów szkoły. Fundusze instytucyi studenckich znajdują się na przechowaniu u kasyera skarbowego szkoły, wydatkowanie zaś tych funduszów dokonywa się według instrukcyi, wydanych przez władzę dla każdej instytucyi.

Zarządzający instytucyami składają zwierzchnikowi szkoły dwa razy do roku sprawozdania. Komisya rewizyjna składa się z delegatów-studentów, a zwierzchnik szkoły ma prawo dokonywać rewizyi niespodzianych.

Wszystkie instytucye studenckie mieszczą się w gmachu szkoły; lokal po za nią może być wybrany za pozwoleniem zwierzchności.

Każda instytucya rządzi się swoją ustawą, zatwierdzoną przez kuratora okręgu.

Następnie przepisy ministeryalne określają typ kuchni, herbaciarni studenckiej, kas, biur pośrednictwa, bibliotek, czytelni i kółek studenckich samokształcenia, naukowych, muzykalnych itp.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Towarzystwo literackie im. Adama Mickiewicza zamierza nabyć w Konstantynopolu dom, w którym poeta zakończył życie, a który ma być wkrótce sprzedany przez licytacyę.

— Na tegorocznych wyborach Towarzystwa lekarskiego powołano: na prezesa dr. Teodora Dunina, na wiceprezesa dr. Walentego Kamockiego, na stałego sekretarza dr. Henryka Hoyera, na dorocznego sekretarza dr. Stanisława Kopczyńskiego.

Przeciw niemczyznie. Niektóre zakłady przemysłowe w Galicy, jak wielka fabryka wagonów w Sanoku, browar Goetza-Okocimskiego, zakłady braci John w Krakowie i ks. Sanguszki w Tarnowie postanowiły nie sprowadzać węgli kamiennych z Niemiec, lecz z Królestwa Polskiego.

— Studenci peszteńscy urządzili ponownie manifestacye w teatrzykach niemieckich.

— Przedstawiciel jednego z większych domów handlowo-rolniczych w Warszawie, chcąc rozszerzyć sprzedaż komisową pługów jednej z fabryk berlińskich, zwrócił się do dyrekcyi spółki syndykatów rolnych kraju północno-zachodniego, zawiązanej w Wilnie, z odpowiednią ofertą w celu wspólnego zakupu narzędzi rolniczych. Na swoje przedstawienie otrzymał odpowiedź, iż dyrekcya spółki na mocy uchwały zebrań ogólnych syndykatów wyrzekła się zakupu narzędzi, pochodzących z fabryk niemieckich.

Ofiara. Pp. Feliks i Emilia Sobańscy złożyli w Towarzystwie rolniczem warszawskiem 100,000 rb. na rzecz kasy przezorności lub utworzenie kasy emerytalnej dla oficyalistów rolnych. Fundusz ten ma być wniesiony do istniejącej już Kasy pożyczkowo-oszczędnościowej rolników i ogrodników, po wprowadzeniu niektórych zmian w jej ustawie.

Szkoły. Postanowiono uczniów szkół handlowych, przechodzących z klasy I specyalnej do II-ej, umieszczać na czas wakacyj w charakterze praktykantów w biurach, kantorach handlowych i instytucyach finansowych.

Dla uczniów. Na ostatnim zjeździe kolejowym uchwalono przewozić bezpłatnie kolejami uczniów rządowych zakładów naukowych, udających się na kuracyę do wód mineralnych krajowych, sanatoryów i kolonij letnich uczniowskich.

Obostrzenia. Minister skarbu wydał rozporządzenie, aby walizy i przedmioty, przewożone przez podróżnych z zagranicy, poddawane były ściślejszej rewizyi celnej, z zastosowaniem wszelkich przepisów obowiązujących.

— Ze względu na to, że podróżujący kolejami żelaznemi zabierają do wagonów zbyt wiele bagażów ręcznych, wskutek czego wagony osobowe są przepełnione pakunkami, gdy brankardy bagażowe idą puste przy pociągu, ministeryum komunikacyj podniosło sprawę zapobieżenia temu. Postanowiono: ograniczyć ilościowo prawo zabierania bagaży ręcznych, zabezpieczyć ich przewóz w oddzielnych wagonach i obniżyć opłatę za przewóz, która przy obecnych warunkach bywa często zbyt wysoka.

Ruch kobiecy. P. M. Lipińska w artykule pomieszczonym w paryskiem *Revue Universelle*, twierdzi, że najwięcej doktorek posiada Ameryka, gdzie w r. 1893 wydano im 2,000 dyplomów medycznych. We Francyi w r. 1901 było: w Paryżu 129 studentek medycyny, w Nancy 11, w Lyonie 21; skończonych zaś i praktykujących we Francyi doktorek liczono 95. Anglicy liczyli w r. 1900 aż 258 doktorek, Polacy—90. W Niemczech studyowało w ostatnim roku 406 studentek medycyny, w Rosyi w r. 1897 przyjęto do instytutu medycznego 188 kobiet.

Hakata. Wydano w Niemczech rozporządzenie, ażeby wszystkie zebrania publiczne, wykłady itp. odbywały się wyłącznie w języku niemieckim. Ma to ułatwić dozorowanie zebrań polskich, a zarazem „podnieść świadomość narodową wśród ludności niemieckiej, która powinna się bronić przeciw ruchowi polskiemu."

— Rektor uniwersytetu w Halli wydał rozporządzenie, na mocy którego świadectwa dojrzałości rosyjskich gimnazyów żeńskich nie dają prawa zapisywania się na studentki.

— Miasta Września i Śrem otrzymały załogi wojskowe po jednym batalionie piechoty. Pisma niemieckie donoszą, że także w innych miasteczkach Ks. Poznańskiego będą umieszczone małe oddziały wojskowe nietyle dla utrzymania spokoju, ile dla ożywienia ruchu niemieckiego.

— Przed trybunałem sądowym w Bydgoszczy toczyć się będzie następująca sprawa: Około 20 ojców rodzin gminy Ojrzanowa, pod Łabiszynem, wniosło razem z sołtysem gminy, p. Wojciechem Oźminą, zażalenie na pierwszego nauczyciela Kühna, że „obchodzi się z dziećmi w sposób urągający wszelkiemu opisowi." Petenci powołują się na fakt, że już w zaprzeszłym roku udawali się ze skargą na tego nauczyciela do inspektora szkolnego, p. Kempffa w Barcinie, lecz na podanie swoje nie otrzymali odpowiedzi; obecnie więc proszą regencyę o spieszne wytoczenie śledztwa i naprawienie złego. W odpowiedzi na to władze szkolne wytaczają śledztwo nie nauczycielowi Kühnowi, lecz sołtysowi Oźminie o rozgłaszanie fałszów na nauczyciela i o podawanie go w pogardę u opinii publicznej. W motywach aktu oskarżenia zarzucono sołtysowi, że jest moralnym sprawcą obrazy, że namawiał współpodpisanych do wysłania zażalenia, że je sam ułożył, a wszystko uczynił tylko w tym celu, aby Kühna, „jako Niemca wysadzić z Ojrzanowa i na jego miejsce uzyskać innego nauczyciela, jeśli się da, Polaka." Świadkami prokuratoryi są: powiatowy inspektor szkolny Kempff z Barcina i interesowany nauczyciel Kühn z Ojrzanowa.

Według ostatniego wykazu, komisya kolonizacyjna zakupiła od roku 1886 w W. Ks. Poznańskiem 113,200, w Prusach zachodnich 49,200 hektarów ziemi (około 38 mil kwadratowych). Do d. 1 października 1901 r. rozparcelowano 77,000 hekt. i utworzono 4,700 gospodarstw, które tworzą 116 wsi.

Z Finlandyi. Generał-gubernator finlandzki postanowił zamknąć zupełnie wydawnictwo gazet: *Juranko* za artykuły „Wolność sumienia" i „Obecne położenie," *Kokkola* za artykuł „Po drodze śmierci" i *Tornio* za nowelę. Oprócz tego zawieszono: *Pohjois-Karjala* na 5 miesięcy, *Undenkoupugin* na 3 miesiące, dwie gazety szwedzkie na 2 miesiące i jedną na miesiąc.

— Cesarski senat finlandzki postanowił uwolnić z posady rektora liceum realnego w Helsingforsie, barona A. v. Wansdorfa, który nie chciał zastosować w bieżącym roku szkolnym niedawno wprowadzonego rozkładu lekcyj z 40 godzinami języka rosyjskiego na tydzień.

Zjazdy. W końcu ubiegłego roku odbył się w Zurychu trzeci zjazd Związku młodzieży polskiej. Między innemi sprawami, omawianemi na wiecu, wyrażono sympatyę Rusinom, dobijającym się o własny uniwersytet we Lwowie, solidaryzując się bez zastrzeżeń z narodowemi dążeniami młodzieży rusińskiej.

Dar. Zmarły w Paryżu milioner Thomy Thierry zapisał na rzecz muzeum Luwru galeryę obrazów, ocenioną na 9 milionów franków, a zawierającą utwory tylko szkoły francuskiej.

Leśnictwo. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa, w celu ułatwienia walki z gąsienicą mniszki, niszczącą lasy w Królestwie Polskiem i guberniach sąsiednich, urządza w leśnictwie Buksztel (st. kolei Petersburskiej Czarna Wieś) skład lepu oraz innych środków tępienia szkodliwego owadu.

Anarchiści. Kongres wszechamerykański, rozbierając sprawę wydawania przestępców, uchwalił, iż wykroczenie anarchistyczne nie może być uważane za przestępstwo polityczne.

Spadki. Senat rządzący wyjaśnił, iż długi, zaciągnięte przez ojca, nie obciążają gruntów włościańskich, nadanych, otrzymanych w spadku przez syna.

Koleje i komunikacye. Stacye kolei Nadwiślańskich: Warszawa-Nadwiślańska i Praga-Terespolska od d. 14 b. m. otrzymały nazwy: Warszawa-Kowelska i Warszawa-Brzeska.

Zmarli. Eugeniusz Puffke (Lipnicki), w Wiedniu, literat, korespondent pism polskich.

— Dr. Sigl, w Monachium, wydawca *Vaterlandu*, wróg Prusaków.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Января 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.